



W ogniu

PAMIĘTNIKI
ŻOŁNIERZY
POLSKICH

WŁADZIMIERZ DŁUGOSZEWSKI

663.

PAMIĘTNIKI ŻOŁNIERZY
POLSKICH

W OGNIU

PAMIĘTNIKI ŻOŁNIERZY
POLSKICH

1 9 4 1

WYDAWNICTWO „GAZETY ILUSTROWANEJ“



CM 314659

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. DI nr 153 /2011/ CM

SPIS TREŚCI

	Str.
Od granicy do Bzury	9
Gdyby Marszałek to widział	31
W chaosie odwrotu	38
Bez celu i bez kierunku	42
Przysięgali na wierność i zdradzali	44
W obronie Warszawy	49
W mroku fioletowych świateł	64

ZAMIAST PRZEDMOWY

Dwa lata miną wkrótce od tych niezapomnianych dni, kiedy nad Polską przeszła pożoga wojny. Ludność kraju przeżywała rozmaicie wrześnie wydarzenia wojenne: na miejscach swojego stałego pobytu, lub też na pełnych grozy, straszliwych drogach ucieczki w nieznane. Każdy zachował w swych wspomnieniach obrazy dramatycznych godzin, kiedy rozstrzygały się losy kraju. Są to jednak tylko drobne fragmenty własnych przeżyć, nie posiadające większego znaczenia ogólnego.

Prawdziwy przebieg operacyj wojennych w Polsce, wypadki na poszczególnych frontach, ruchy polskich jednostek, oddziałów i całej armii aż do czasu złożenia przez nią broni-wszystko to są rzeczy pozostające dla szerokiego ogółu społeczeństwa do dziś pod pokrywą mgły. Są to sprawy przeważnie nieznane, nieopisane, dotychczas niewyświetlone. W przeciwnieństwie do mnóstwa publikacji niemieckich, poświęconych całości i fragmentom wyprawy na Polskę, nie ukazała się dotychczas ani jedna praca polska, któraby z polskiego punktu widzenia próbowała nakreślić obraz wojny wrześnieowej. Kilku drobnych publikacyj propagandowych o obronie Warszawy, wydanych zagranicą przez różne grupy zwalczającej się nawzajem emigracji, nie można brać-oczywiście-pod uwagę.

Z tym większym tedy zadowoleniem powinien wziąć czytelnik do rąk tę oto książkę, na której stronicach oficerowie (dwóch majorów i trzech podporuczników) oraz żołnierze b. armii polskiej w prostych, żołnierskich i ludzkich słowach opowiadają o dramacie pamiętnych dni jesieni 1939. Poszczególne rozdziały są prosto pamiętnikami, pisanymi już to od razu na krótkich postojach wojennych, bądź też przemyślanymi później, w długie dni i miesiące nieustannych rozmów i dociekań nad przyczynami klęski, w obozach jeńców wojennych. W ten sposób powstała ta książka, napisana przez czynnych świadków wojny polsko-niemieckiej, opowiadających o różnych fragmentach jej przebiegu. Część tych pamiętników ukazała się na łamach tygodnika dla jeńców polskich w Niemczech „Gazety Ilustrowanej“.

Pamiętniki oficerów i żołnierzy są to żywe niejako reportaże z walk nad granicą Prus Wschodnich i na Pomorzu. Opowiadają o wielkiej bitwie pod Kutnem, jak i o odwrocie na Lwów, oraz wskrzeszają chmurne dni oblężenia i obrony Warszawy. Trzeźwo i rzeczowo, chociaż nie bez zrozumiałej nawskroś ludzkiej uczuciowości przedstawiają autorzy pamiętników wydarzenia, które dla nich samych i dla ich kraju stały się przełomowymi. Dzięki temu pamiętniki są pierwszym nieocenionym i niezastąpionym oryginalnym źródłem dla późniejszych zbiorowych studjów nad wojną polsko-niemiecką. Czytelnik przeżyje nad tą lekturą to, co żołnierz polski przeżył w ogniu walki. Czytelnik zastanowi się, niewątpliwie, głębiej nad treścią tej książki, napisanej przez ludzi, którzy nigdy nic wspólnego nie mieli z zawodem pisarskim, a którzy poszli na rozkaz wykonać swój obowiązek obywatelski i żołnierski. Czytelnik napewno będzie miał nad tą książką okazję do przemyślenia, jak to się stało, że tak potężny pożar ogarnął Polskę, niszcząc jej wnętrze i ściany. Być może znajdzie też odpowiedź na pytanie, gdzie należy szukać przyczyn pożaru i kto ponosi winę za nieszczęście.

OD GRANICY DO BZURY

O wojnie z Niemcami mówiło się w korpusie oficerskim naszego małego miasta garnizonowego już od wiosny, jak o czymś zupełnie zrozumiałym, jak o czymś, co wcześniej czy później nastąpić musi. I tak się to zaczęło. Obudzony niezwykle ruchem i odgłosami, dochodzącymi od ulicy miasta, spojrzalem przy świetle nocnej lampki na zegarek: była godzina pierwsza w nocy z 23-go na 24-go sierpnia 1939 roku. Wychyliłem się przez okno: to ordynansi oficerów, zamieszkałych w mieście, biegli co tchu do swoich dowódców, z zawiadomieniem o zbiorce alarmowej w koszarach pułku. Uspokoilem żonę i zacząłem się pośpiesznie ubierać. Obydwoje podświadomie odczuliśmy, że nadzwyczajny alarm pośród nocy, w tak naprężonych stosunkach politycznych, jest wydarzeniem, bogatym w następstwa, tym bardziej że pułk nasz miał za zadanie osłonę od strony Prus Wschodnich mobilizacji oraz koncentracji Czwartej Dywizji Wojsk Polskich.

Po upływie kilkunastu minut znalazłem się w rześcisie oświetlonej sali garnizonowego kasyna oficerskiego. W całych koszarach panuje niezwykle ruch. Po drodze spotkałem kilku spóźnionych gónców z zalakowanymi kopertami w rękę. Sala zaczyna się zapelniać. Przychodzi oficer mobilizacyjny major O. ze swoim zastępcą kapitanem B. Wielu oficerów jeszcze niema, jest już natomiast sam dowódca pułku podpułkownik Kumuniecki. Nastrój wśród oficerów jest poważny, na niektórych twarzach widoczne nawet ślady zdenerwowania. Dowódca pułku czeka jeszcze kwadrans na spóźnionych, rozmawiając zupełnie swobodnie z niektórymi oficerami; nawet dowcipkuje. Nareszcie wszyscy są już na sali, z wyjątkiem trzech podporuczników. Słyszę szept młodszych oficerów, że nieobecni musieli się zatrzymać w kabaracie, albo śpią po mocno zakrapianym wieczorze, spędzonym w towarzystwie miejscowych dam barowych... Dowódca pułku podaje do wiadomości ogłoszenie rzeczywistego alarmu i rozpoczęcie mobilizacji pułku. Godzina mob. „A“ zaczyna się o piątej rano i od tej pory wszystko ma się odbywać zgodnie z kartkami mob. Następuje odczytanie poszczególnych przydziałów mobilizacyjnych. Zostają przydzielony do ośrodka zapasowego w mieście Rzeszowie. Pojadę tam z pierwszym zastępcą dowódcy pułku, drugim zastępcą d-cy pułku, oficerem mob., oficerem gospodarczym, płatnikiem oraz kadrą podchorążówki czwartej dywizji piechoty z jej komendantem majorem K. na czele.

Przed wyjazdem mam objąć przewodnictwo nad 108 komisją poborową dla koni i sprzętu transportowego. Własnego taboru wojennego pułk nasz,

jak zresztą wszystkie pozostałe pułki w Polsce, nie miał. Otrzymałem rozkaz zgłoszenia się po skrzynię, zawierającą wszystkie akcesorja, potrzebne do wykonywania mojej funkcji poborowej. Otrzymałem również teczkę orientacyjną dla przestudjowania tej zupełnie nowej dla mnie, jako oficera bojowego, dziedziny administracji wojskowej. Oficerowie, po otrzymaniu przydziałów, wychodzą. Dowódca pułku omawia z majorem W. ewakuację pułku, akt i pozostałego majątku ruchomego. O ewakuacji rodzin wojskowych zawodowych nikt nie wspomina ani słowem, ażeby „nie podrywać bojowego ducha kadry“. Nagół jakoś nie przejmowano się tym, że granica niemiecka przebiega o niecałe 40 km na północ od miasta. Wszyscy mieli głębokie przekonanie, że po kilku dniach działań wojennych pułk nasz stanie załogą w Królewcu, a już conajmniej w Deutsche Eylau.

Punktualnie o 5-ej rano zaczynam swą pracę na komisji poborowej. Na wyznaczonym do tego celu folwarku zastałem już lekarza-weterynarza, natomiast pełnomocnicy z gminy i policji nie stawili się. O 9-ej zaczynają przybywać pierwsi właściciele z końmi, wozami i uprzężą. Wyznaczam więc pełnomocników z posród obecnych. Dwaj pisarze zajmują miejsce przy stole, żołnierze zaś wykonują obowiązki policjantów, czuwając nad porządkiem. Przyjęte konie i wozy odsyłam partjami do pułku.

Weterynarz oraz wyznaczeni przeze mnie pełnomocnicy komisji wykazują charakterystyczną tendencję jaknajniższego oszacowywania pobranych koni, oświadczając, że chodzi tu przecież o dobro Polski. Muszę sam podwyższać cenę. Dobro Polski wymaga też odpowiedniego traktowania jej obywateli i wyświadczonych usług przez jej władze. Ilekroć do stołu komisyjnego podchodzą gospodarze, czy właściciele majątków - Niemcy, głowy szacujących automatycznie pochylają się ku mnie z szeptem: „To szwab, panie majorze, trzeba mu zabrać wszystkie konie!“ Odpowiedziałem mym informatorom, że państwo polskie jest wspólnym dobrem wszystkich obywateli i z tego punktu widzenia należy oceniać godziwie świadczenia, czynione przez obywateli na rzecz potrzeb państwowych. Zresztą włościacianie - Polacy z Pomorza bardzo chętnie oddawali konie państwu; natomiast kilku ziemian było niezadowolonych. Narzekali, że komisja przyjęła od nich zbyt mało koni, trzykroć mniej, niż oczekiwali. Bezczelność! Dobre konie pozostawiali w stajniach, przyprowadzali natomiast najlichsze wierzchowce i pociągowce.

Do godziny 22-ej zakończyłem prace komisyjne. Zabrałem więc swoją urzędniczą skrzynię i wróciłem do dowództwa pułku. Co się tu działo w ciągu dnia, jak mundurowano rezerwistów i jak ich rozdzielano — nie widziałem. Wiem, że w pierwszym dniu zgłosiło się niezbyt wielu rezerwistów. Wróciłem do domu po północy. Zona i synek spali spokojnie. Wydało mi się przez moment, że wszystko ma przebieg niegroźny. Bądź-co-bądź, nie słyhać jeszcze warkotu bombowców, nie huczą armaty i tak jak zwykle mogę się po pracy przywoicie wyspać.

Nazajutrz (25 sierpnia) zameldowałem się ze swoją skrzynią w dowództwie. W koszarach gorączkowe pakowanie. Przyglądam się obrazkom mobilizacyjno-ewakuacyjnym. Major W. wywozi na dworzec uzbrojenie, umundurowanie i pozostałe sprzęty ekwipunku. Okazuje się po tym, że nie ma go dla rezerwistów. Trzeba poprostu zaprzęgać wozy i przywozić odwiezione z dworca... Od samego rana tego dnia przybywają ze stacji większe transporty powołanych rezerwistów. Prowadzą ich z orkiestrą, czwórkami.

Wśród maszerujących widzi się dużo „wstawionych“. Ponieważ ukończyłem swoją funkcję, mam czas do robienia pouczających obserwacji. Koszary kipią bałaganem. Wszędzie krzyk, rwetes, bieżanina, brudne potoki przekleństw. Na ulicach spotyka się pijanych strzelców, wałęsających się, mimo wyraźnego zakazu wychodzenia na miasto. Podchodzę do jednej kompanji. Otoczony zewsząd przez żołnierzy oficer, odpowiada na ich liczne i natarczywe pytania. „Panie poruczniku, czy my naprawdę potrafimy zwyciężyć Niemców?“ — „Ależ, niewątpliwie — odpowiada oficer — w ciągu tygodnia zajmiemy Gdańsk i Prusy Wschodnie, a najdalej w ciągu trzech tygodni wmaszerujemy do Berlina. Niemcy są wygłodzeni, źle uzbrojeni, źle wyszkoleni. Przede wszystkim zaś, nie zapominajcie, chłopcy, że za nami, za Polską, stoją murem największe światowe potęgi — Anglia i Francja!“

Spotykam majora W. — „No, co pan myśli, będzie wojna, czy nie?“ — zapytuje po podaniu ręki. Odpowiadam, że sytuacja jest bardzo poważna. „Mnie się wydaje — powiada zastępca dowódcy pułku — że Niemcy w ostatniej chwili zlekną się i zrezygnują ze swych roszczeń. Wobec tego byłoby nawet dobrze sprowokować wojnę, na przykład wmaszerować do Prus Wschodnich z jednym lub dwoma batalionami... Dowiaduję się, że w ciągu ubiegłej nocy kilka żon oficerów z garnizonu wyjechało z rzeczami do Warszawy. Otrzymuję nowy rozkaz: pobrać dodatkowo 30 par koni i tyleż kompletów uprzęży na wsiach, położonych pod miastem. Wyjeżdżam autem ciężarowym. Ten sam proceder, co wczoraj. O trzeciej w nocy jestem gotów. Odesłałem żonę z synkiem do rodziców. Zdążyła jeszcze wsiąść na normalny pociąg do Warszawy. Czy dojedzie? Niepokoi mnie możliwość niemieckich nalotów z powietrza. Nasi sztabowcy stanowczo nie doceniają sił nieprzyjaciela. Nie mogą zasnąć do rana.

Nad ranem dobija się ktoś do mych drzwi. Zrywam się i machinalnie podbiegam otworzyć. Jestem ubrany. Ach, więc zasnąłem jednak, w butach i mundurze. Ordynans? Nie, goniec. W postawie służbowej melduje panu majorowi, że dowódca dywizji, pułk. dyplomowany Rawicz-Mysłowski oczekuje go o szóstej. Patrzą na zegarek: jest 5,45. Jest to 26 sierpnia. Sobota. Natychmiast śpieszę do koszar pułku, gdzie urzęduje już dowództwo Czwartej Dywizji Piechoty.

Po drodze widzę, że bataliony w pełnym ekwipunku bojowym zajęły budynki publiczne. Dowództwo pułku urzęduje w gmachu gimnazjum żeńskiego na drugim krańcu miasta. Z koszar wyjeżdża długi sznur wozów, naładowanych różnego rodzaju sprzętem. Wszystko to ciągnie na dworzec. Na dziedzińcu koszar szwendają się jeszcze jacyś cywile. Są to „nadwyżki“, bo pułk już jest zmobilizowany. Mają oni jechać z nami do Rzeszowa, gdzie nastąpi organizacja tak zwanego drugiego „rzutu“ pułku.

Wchodzę do budynku sztabowego. Przed nim stoją dwa auta dowódcy dywizji, „łazik“ i limuzyna. B. dowódca naszej dywizji, gen. Bołtuć spożywa obiad w kasynie.

Zameldowałem się pułk. Mysłowskiemu, b. dowódcy naszego, 67 p. p. w Brodnicy. Informuje mnie, że natychmiast odjeżdżamy z gen. Bołtuciem oraz pułk. Soltysiem na odcinek do wsi Gronzawy, pod stacją kolejową Radoszki. Zajmujemy miejsca w autach, ruszamy. Po drodze otrzymuję od pułkownika instrukcję: „Nie pojedzie pan, majorze, do Rzeszowa. Wykorzystamy tu pańskie bojowe doświadczenie. Obejmie pan dowództwo nad czwartym batalionem, który należy zorganizować z pozostałych nad-

wyżek. Wykona pan swoją pracę w ciągu nocy, a jutro, 27 sierpnia, o godz. 6 rano, osobiście przyjmę raport i zrobię przegląd batalionu. Po przeglądzie odmaszeruje pan na odcinek Gronzawy." Cóż miałem odpowiedzieć? Rozkaz jest rozkazem.

Oglądamy odcinek Gronzawy od lasu Lidzbarskiego do t. z. Szańców Szwedzkich włącznie. Odcinek ma 7 km długości. Trzej wyżsi oficerowie dyskutują na temat odpowiedniego ustawienia ciężkich i lekkich karabinów maszynowych, przerąbania gęstwiny, wykończenia robót fortyfikacyjnych oraz grobli dla dokonania zalewu wodą. Groble zaczęli budować robotnicy cywilni przed 13-ma miesiącami i tak jakoś roboty przy nich później utknęły. Ołówkiem notowałem ostateczne decyzje przełożonych na mapie. Czas mija, zaczynam się raczej zastanawiać nad przyszłą organizacją batalionu, uważając długie rozważywanie drobnostek i szczegółów za bezcelowe. Trudności będę miał olbrzymie. Trzy pierwsze bataliony zorganizowano zgodnie z planami mob. gdzie wszystko już było obmyślane i przygotowane. Co mam robić, mając do dyspozycji jedynie materiał ludzki, 600 rezerwistów? Pułk. Mysłowski oddaje mi pod dowództwo jeszcze jedną kompanię Obrony Narodowej, pozostającą pod komendą podporucznika rezerwynauczyciela szkoły powszechnej. Druga taka kompania zajmowała przesmyk Drwęca-jeziorko Bachotek, zamykając kierunek z Nowego Miasta na Brodnicę. Całą przestrzeń między st. Radoszki a Drwęcą mam bronić ze swym jeszcze niezorganizowanym batalionem, który pułk. Mysłowski żartem, czy na serio nazywa „szturmowym“.

O godz. 14-ej wracamy do Brodnicy. Obiad w kasynie. O 15-ej zacząłem swoją pracę organizatorską. Nie mam ani jednego oficera czynnego. Major K. zabrał oficera aktywnego por. Niewiarowskiego do kadry podchorążówki. Dla mnie pozostały resztki. Jest 8 podporuczników-sami nauczyciele, ludzie bez energii i doświadczenia wojskowego. Wszyscy oni przeszli kiedyś pod czyimś kierunkiem pobieżne wyszkolenie przygotowawcze na kometantów conajwyżej plutonów. Wyznaczam z pośród nich dowódców kompanij, jednego mianuję swoim adjutantem, drugiego oficerem łączności, trzeciego gospodarczym, czwartego płatnikiem. Pozostał jeszcze jeden, który melduje, że jest chory na hemoroidy. Co z nim zrobić? K. nie chce mi go „zamienić“ na innego. Przydzielam go więc na dowódcę plutonu w jednej z kompanij.

Zbieram rezerwistów. Trudna sprawa: bractwo rozlazło się we wszystkie strony. Większość zajęta jest pracą w koszarach i na dworcu.

Zgłosiło się na zbiórkę 200-u. Wyszukuję pomiędzy nimi kapralów i starszych strzelców. Plutonowych wogóle niema. Brak mi szefów kompanij, niema wcale dowódców plutonów. Brak lekarza, podoficera weterynarza, niema materiału do stworzenia kompanij C. K. M., ponieważ nie posiadam ani „maszynek“, ani koni, ani „biedek“.

Melduję się u dowódcy dywizji. Proszę go o przydział bodaj adjutanta z pośród oficerów zawodowych, a poza tym o sierżantów. Melduję o wszystkich brakach. Mysłowski gniewa się, ale przydziela mi z kadry K. ppor. Niawiarowskiego oraz czterech zawodowych plutonowych na szefów kompanij. Szefem baonu mianuję st. sierż. Prusa. Kompanij K. M. nie formować, albowiem otrzymam od niego 12 taczanek z 14 p. p., jako kompanję dywizyjną w pełnym rynsztunku.

Tymczasem moi nowomianowani dowódcy kompanij biegają, krzyczą, hałasują a skutków tej roboty nie widać. Raz po raz meldują mi, że brakuje

wszystkiego. Oczywiście trudno im jest coś zrobić, skoro major W. wywiózł wszystko na stację. Odnajduję dowódcę pułku i proszę go o pozwolenie zabrania z dworca niezbędnych dla mojego batalionu rzeczy i sprzętu. Uzyskawszy zgodę, wysyłam oficera z ludźmi i wozami na dworzec. Udać się tam sam dla orientacji. Na dworcu niema nikogo z oficerów kwatremistrza, kilku podoficerów beładnie pakuje sprzęt do wagonów towarowych. Zapytuję, gdzie, co i jak jest załadowane. Nie wiedzą. Wchodzę ze swym podporucznikiem do wagonu. Znaleźliśmy letnie drelichy, resztę starych masek bez bojowych pochłaniaczy. W innym wagonie są stare i nowe mundury, ładownice, skrzynie z amunicją karabinową, brudna żołnierska bielizna. Idziemy dalej: jest 110 nowiuteńkich karabinków; 150 niemieckich karabinów fabryki w Poczdamie z roku 1885. Znajdujemy całą mieszaninę karabinów: Mausery, Winchestery, Manlichery, coś około 120 sztuk. Szukamy butów — jest 50 par nowych i 380 par starych, wreszcie 50 par butów z długimi cholewami. Tornistry i plecaki najróżnorodniejszego rodzaju i wieku. Hełmów, pasów amunicyjnych, pasów głównych, masek, onuc i t. d. niema. Zabieramy to wszystko do koszar i rozdzielamy pomiędzy kompanie. Zalecam przeszukanie poddaszy koszar, gdzie mieściły się magazyny. Nową broń otrzymuje pierwsza kompanja. Reszta — zapowiadam zgodnie z tym, co mi powiedziano — otrzyma ją później. Dowódcy kompanij robią z tego całego bałaganu pod moim nadzorem nareszcie jakieś wojsko. Ja sam wyszukuję kuchnię i kilka wozów do taboru. Moje kuchnie-to stare graty, zardzewiałe i nadające się do wyrzucenia. Trzeba je oczyścić. Szukam produktów dla kuchni. Oficer gospodarczy mało się orientuje w swym przedmiocie. Pozostaje jeszcze kompanja łączności. Jej dowódca tylko gdera, ale nic nie robi. Wynałazłem w jakiejś dziurze około 20 bębnow kabela i sześć wybrakowanych polskich aparatów telefonicznych, wśród których z pamiętały jeszcze wojnę światową (rosyjskie, artyleryjskie), szukam łącznicy. Niema jej i nie będzie! Dopytuję się o lekarza, nosze, opatrunki indywidualne, lekarstwa. Nic niema i nic nie będzie! Niema nawet znaczków indywidualnych. Może dlatego — psiakrew! — że mój batalion „szturmowy“ ma być nieśmiertelny . . . Wyznażyłem jeden chłopski wóz na „transport sanitarny“, posadziłem na nim kaprala-sanitarjusza z wielką torbą, zawierającą jodynę i watę. Jest to całkowite sanitarno-medyczne zaopatrzenie bataljonu, mającego samodzielne zadania, działającego bez kontaktu z pułkiem. Odczuwam, że żołnierze mają dziwne uczucie jakiejś krzywdy, która ich spotyka. Dlaczego ich tak uzbrajamy, ekwipujemy i odmawiamy tego, co im, idącym na śmierć za ojczyznę, należy się dać przede wszystkim?! Jestem dowódcą tego batalionu, na naramiennikach mam dwa paski i srebrną oficerską gwiazdkę. Dlaczego, ja major Wojsk Polskich muszę oszukiwać tych ludzi, szarych polskich i białoruskich żołnierzy, że wszystko będzie załatwione, jak należy? Żołnierzu polski, całkiem słusznie złorzeczący i narzekający po trudach tej wojny na nas, twoich dowódców! Żebyś ty wiedział, ilu z nas, oficerów, buntowało się przeciw tym kpinom generalsko-ministerskim z ponurej polskiej rzeczywistości! Jednak wojsko jest wojskiem, rozkaz jest rozkazem. Trzeba było coś radzić, ratować, co się da. Zachowywać bodaj pozory jakiego-takiego ładu. Oficerowie mojego, „bojowego“ batalionu nie mają torb oficerskich; są bez lornetek i bez pistoletów: biorą do rąk karabiny, lub laski. I z tym wszystkim pomaszerujemy na Niemców . . .

Donoszą mi, że major W. klął siarczyście za nasze gospodarzenie bez jego udziału na stacji kolejowej. Nic to mnie nie obchodzi: w jego interesie leży jaknajszybszy wyjazd pociągiem ewakuacyjnym, ja zaś mam obowiązek, bez niczyjej pomocy zorganizować szturmowy, wojenny batalion. O godzinie 24-ej w nocy poszedłem do domu na krótki odpoczynek. Przed tym udzieliłem oficerom wskazówek, co do rannej zbiórki oraz innych spraw służbowych.

Dzień 27 sierpnia wstał słoneczny; o piątej rano byłem już w koszarach. Odbywa się tu zbiórka. Przyjmuję raport kompaniami, oglądam swój batalion. Zewnętrzny wygląd tego wojska jest niezwykle różnorodny: jedna kompania w rogatywkach polowych, pozostałe w furazerkach, starych, brudnych i postrzępionych. Jedna kompania ma nowiuteńkie karabinki Mausera, druga — stare niemieckie, trzecia jakieś mieszane, przedpotopowe. Brak płaszczy. Część żołnierzy ma na sobie drelichy, inni stare mundury sukienne. Jedni są w butach, pozostali w trzewikach. Trzewiki są różne: czasami z jednej nogi, czasami jeden zmieściłby się swobodnie w drugim z innej nogi. Bielizny żołnierze wogóle nie otrzymali. Ładownice są nawet niezłe, tylko, że większość z nich telepie się na paskach od spodni. Zastanawiam się przez sekundalną chwilę nad frapującym mnie pytaniem: na czym, w takim razie, trzymają się spodnie moich żołnierzy?

Po prostu odnosi się wrażenie pospolitego ruszenia. Ciekaw jestem, co powie dowódca dywizji, pułk. Mysłowski. Jest on przecież znanym pedantem, jeżeli chodzi o jednostajny wygląd żołnierzy i formacji. Wywołuję kadry poszczególnych kompanii: kaprale rezerwy dowodzą plutonami, drużyny zaś podlegają starszym strzelcom, lub poprostu strzelcom. Co tu mówić o jakimś regulaminie, skoro moi dowódcy kompanii mają słabe pojęcie o organizacji kompanii. Oglądam tabor baonu. Jest tego, razem wzięwszy, 9 chłopskich furmanek plus 2 kuchnie. Nie mam płacht brezentowych, na kołach wozów znać jeszcze błoto, niema latarek, uprząż pozwiązywano sznurkami i postronkami.

Do zbiórki szykuje się również pluton pionierów pod dowództwem por. L., pluton artylerji pułkowej z kapitanem T. na czele, wreszcie pluton armatek przeciwpancernych w pełnym rynsztunku. Plutony te robią dobre wrażenie; wszystko na nich świeci się i połyskuje. Umundurowanie i sprzęt otrzymały te plutony z magazynów „mob“. Żołnierze batalionowi głośno zapytują swoich przełożonych, dlaczego ich upośledzono i nie dano im takiego sprzętu i rynsztunku. Czyż oni są gorsi od innych? Gdzie są r. k. m., granatniki, granaty ręczne? Kompanje mają różnorodne karabiny i 900 sztuk mieszanej amunicji. Gdzie są ich koce, płaszcze, maski, helmy, torby itd?

Punktualnie o szóstej przybywa dowódca dywizji. Melduję posłusznie stan: 650 ludzi, koni, wozów.... Nic nie powiedział. Spojrzał na batalion, stworzony z niczego i rzucił tylko uwagę, że za kilka dni otrzymam wszystko, czego potrzebuję. W tym celu mam nadesłać z Gronzaw wykaz braków. Podaję komendę i mój batalion, najpóźniej i najszybciej zorganizowany odchodzi na odcinek w Gronzawach. Pułk pozostał w Brodniczy.

*

Z Brodniczy wyszedłem na odcinek „Gronzawy“ w takim składzie: trzy kompanie strzeleckie, drużyna łączności, 2 kuchnie i tabor batalionowy. Dowódca pułku dodał do tego 2 armaty polowe, pluton pionierów pułkowych

i 2 armatki przeciwpancerne. Pionierzy mieli własną kuchnię, dlatego zaprowiantowałem przy nich dwa pozostałe plutony, przydzielone z pułku. Poza tym bataljon nie miał żadnego R. K. M. i ani jednego C. K. M. Oprócz pionierów nikt z oficerów, ani tym bardziej z żołnierzy nie miał polowej łopaty, która w wojnie współczesnej jest równie niezbędna, jak karabin. Przybyliśmy na miejsce wyznaczone o godz. 9-tej. Wydaję dyspozycje komendantom kompanii: I kompanię wysyłam na „Długi Most“ z miejscami kwatery dowódcy na leśniczówce, druga kompanja pójdzie na prawo, przy czym dowódca rozlokuje ją w pojedynczych budynkach za Gronzawami. 3 Kompanja stoi w Gronzawach, jako oddział rezerwowy. Wybieram stanowiska dla artylerji i działek przeciwpancernych. Kompanję Obrony Narodowej z Górzna podporządkowuję sobie. Dowódca pionierów ma natychmiast przydzielić do każdej kompanji instruktorów-podoficerów, zarekwirować po sąsiednich wsiach łopaty, rozdzielić swój materiał saperski i natychmiast przystąpić do robót fortyfikacyjnych. Za kompanjami, maszerującymi na swoje wyznaczone stanowiska, łączność zaciąga kabel. Zanim kompanje i plutony odeszły na wyznaczone stanowiska, nadjechał dowódca grupy operacyjnej gen. Bołtuć z pułkownikiem M. Składam raport oraz informuję ich, co zrobiłem i jak zamierzam postępować dalej. Wyżsi oficerowie aprobują moje zarządzenia, obiecując naprawienie wszystkich braków, po czym udają się w dalszy objazd. Dosiadam konia, zamierzając objechać odcinek, obsadzony przez Obronę Narodową. Widzę „zawodnienie“ doliny i poprzeczne groble. Woda zatrzymała się przy grobelkach, ale tak, że przez teren, znajdujący się między jedną grobelką a drugą może przejść cała kompanja przeciwnika. Zapory wodne są tak zrobione, że wystarczy jeden lub dwa strzały artylerji polowej, lub kilka min, ażeby je zniszczyć. Cała dolina pokryta jest wielkimi krzakami, wierzbnami i grubymi olszynami. Wszystko to może służyć dla przeciwnika za wspaniałe przykrycie oraz ułatwić mu obstrzał i obserwację. Otrzymałem coprawda rozkaz wyrąbania i wycięcia tych zarośli w ciągu dwóch dób, według moich obliczeń jednak dla wyrąbania całego odcinka siedmio-kilometrowego, musiałbym zatrudnić cały batalion w ciągu tygodnia. Miejscami trzebaby wykonywać tę pracę na łodziach. Oznacza to, że rozkaz wyższych dowódców jest niewykonalny. Jadę dalej, ażeby obejrzeć miejsca dogodne na stanowiska ciężkich karabinów maszynowych: naco się zdała długa dyskusja, prowadzona tu w czasie oględzin terenów w ubiegłą sobotę, jeśli mój oddział nie posiada takich karabinów i wogóle nie wiadomo, czy będzie je miał. Mimo woli przypomina mi się opowiadanie pułk. Rawicz-Mysłowski o jego walce z Ukraińcami pod Gródkiem Jagiellońskim w 1918—19 r. Do opowiadania tego obecny dowódca dywizji często i chętnie powracał. Płk. R. urządził wówczas wypad na pozycje ukraińskie i wziął do niewoli kilku jeńców. Natychmiast rozkazał pobijać pale, na łodzie gródeckiego stawu, z poprzecznymi listwami. Do tych poprzecznic przywiązywano na jego rozkaz Ukraińców za nogi. Całą noc polewano ich wodą przy 25 stopniach mrozu. Na drugi dzień rano miał pan pułkownik, jak powiedział, piękny widok, bo w promieniach zimowego słońca, jak lodowe posągi lśnili zamrożeni Ukraińcy. Gen. Bołtuć w przemówieniu, wygłoszonym do podchorążych z cenzurem, latem obecnego roku również podkreślił, że „4-ta dywizja nie będzie miała jeńców niemieckich, a pułk. M. prosił generała o opiekę nad tymi jeńcami, z którymi lepiej potrafi się rozmówić, niż kiedyś z Ukraińcami pod Lwowem. Przyjechałem na odcinek drugiej kompanii. Dowódca kompanii nic nie zarządził, położył

się spać, a ludzie porozłazili się po domach. Zbesztalem go, dając konkretne zadania odnośnie organizacji obrony, ustanowienia łączności, służby ubezpieczenia i t. d. Dowódca pierwszej kompanii dopiero przybył na miejsce i ogląda odcinek. Nic nie może zrobić, nie mając narzędzi. Pokazuję mu przebieg pierwszej linii, linię służby wartowniczej, gdzie ma się okopać, odrutować i zająć stanowisko. Podkreślam konieczność kontaktu z sąsiadami. Denerwuje mnie brak najmniejszej odrobiny inicjatywy u moich dowódców kompanii; jakaś dziwna prostracja, wszystkich trzeba dosłownie prowadzić za rękę. Po powrocie do sztabu batalionu, z przyjemnością zauważyłem ruch, porządek i tempo pracy. Adjutant por. Niewiarowski wszystko zorganizował, trzecia kompania pilnie pracowała w terenie. Szef kancelarii starszy sierżant Prus zorganizował sztab i już na własnej maszynie pisze raporty, zapotrzebowania i sprawozdania. Są już łącznicy do kompanii, zatroszczono się o jedzenie i miejsce na odpoczynek. Po przyjęciu raportu od dowódcy trzeciej kompanii, udzieliłem mu różnych poprawek co do wyboru pozycji. Po kilku godzinach wysłałem adjutanta dla skontrolowania prac oddziałów. Adjutant powrócił wieczorem, wściekły na dowódców kompanii. Praca batalionu zaczynała zbliżać się do form normalnych. Dowódce kompanii Obrony Narodowej z Podgórzna również trzeba było uczyć robienia pozycji umocnionych. Obrona Narodowa miała najlepsze warunki, posiadając pluton ciężkich francuskich karabinów maszynowych. Każda z jej drużyn miała własny R. K. M. Byli to przeważnie ludzie miejscowi, zorientowani w terenie. Nadeszła noc. Moje patrole łączności wysłane do brygady kawalerji w Lidzbarku oraz do batalionu O. N. majora F. w folwarku pod Brodnicą nie powróciły. Zastanawiam się nad tym, co by się stało, gdyby naprawdę wybuchła wojna i gdyby Niemcy zechcieli skierować uderzenie na taką pozycję, jak ta, zajęta przez mój batalion „szturmowy”? Oczywiście, moi żołnierze postrzelaliby trochę z karabinów i rozpierzchliliby się we wszystkie strony, a ich dowódca stanąłby przed sądem polowym za „ucieczkę batalionu“ z pozycji i nieumiejętne dowodzenie powierzonym sobie oddziałem. Na odcinku Gronzawy spędziłem dwie doby, do 28 sierpnia włącznie. 29 sierpnia dwa auta ciężarowe przywoziły płaszcze dla ludzi, dotychczas bowiem żołnierze moi, zwłaszcza zaś pierwsza kompania, stacjonująca w lesie, gdzie nie było żadnych zabudowań, zmuszona była nocami marznąć. Przyjąłem płaszcze, dając kapitanowi z intendentury pokwitowanie oraz dalsze zapotrzebowanie na resztę umundurowania i uzbrojenia. Auta odjechały. O godzinie 3-ej nad ranem obudzono mnie do telefonu z pułku. Telefonat podano przez linię stałą do urzędu pocztowego w Radoszkach. Siadam na konia i jadę 2½ km. Przy aparacie melduje się adjutant pułku. W myśl poleconego mu rozkazu dowódcy pułku, mam natychmiast maszerować z całym batalionem do Brodnicy, gdzie otrzymam nowe zadania. Zapytuję, czy Obrona Narodowa maszeruje ze mną. Odpowiedź zaprzeczająca, zostaję na miejscu. Motocyklem nadjeżdża kapitan — oficer wywiadowczy pułku. Potwierdza rozkaz adjutanta. Zapytuję, czy oddziały dołączone również maszerują z baonem. Tak jest, maszerują. Zarządzam alarm kompanij. Kucharze mają gotować kawę. Ubiaram 3. kompaniję w nowodostarczone płaszcze i oczekuję przybycia pozostałych kompanij. Po pewnym czasie są obydwie na miejscu i rozdzielają między sobą płaszcze. Kawa gotowa, chłopcy popijają z uciechą. Za pół godziny maszerujemy. Przed dziewiątą zbliżamy się do przedmieścia naszego miasta garnizonowego. Tu mnie spotyka dowódca pułku. Ujrawszy posuwające

się za batalionem plutony artylerji, pionierów i armatek przeciwpancernych, w ostry sposób zaczął mnie ganić za zdjęcie „dodatków“ batalionowych ze stanowisk. Odpowiadam posłusznie, że uczyniłem to na wyraźny rozkaz adjutanta oraz kapitana. Podpułkownik jest bardzo zły z tego powodu, że „major się nie domyślił i nie pozostawił trzech wymienionych plutonów na miejscu“. Przesłałem oponować i pozostawiłem wszystkie plutony, które pomaszzerowały z powrotem na opuszczone stanowiska. Dowódca wydaje mi rozkaz: natychmiast maszerować do Jabłonowa. W drodze dopędy mnie ktoś z odpowiednim dalszym rozkazem. Dołącza do mnie dywizyjna kompania, złożona z 12 C. K. M. na taczankach, która rano przybyła z Włocławka. Dowodzi nią kapitan W. z 14 p. p. Kompania ma nowiuteńkie uzbrojenie mob. i sprawia bardzo dobre wrażenie. Wydają jej dowódcy odpowiednie rozkazy, sam zaś wpadam po drodze na moment do mieszkania. Czekają na mnie trzy listy od żony i rodziny. Żegnają się z gospodarzami i pędzę dalej. Dosiadam konia i za chwilę jestem już na czele batalionu. Patrząc przed budynkiem gimnazjum żeńskiego cała inteligencja miejscowa na czele ze starostą, nauczycielkami gimnazjalnymi oraz innymi notablami kopie rowy przeciwlotnicze dla ludności. Robi ten cały uroczysty widok trochę dziwne a trochę nawet śmieszne wrażenie. Jak trwaga, to do Boga, a co panowie w cylindrach robili przez 20 lat? Gdzie są nasze schrony i wzmocnione fortyfikacje? Czy to nam pomoże, że obecnie nawet dygnitarze wzięli się za łopaty, ażeby zagrzeć masy do roboty patriotycznej? Maszerujemy spokojnie. Próbuje gotować obiad w kuchniach. Niestety, moje kuchnie zalewa woda. Gotuje tylko kuchnia kompanji karabinów maszynowych. Wysyłam kuchnię do Kruszyn, pod las, gdzie ma być postój batalionu i gdzie zamierzam zarządzić obiad. Zrobiliśmy od rana 35 km. Obiad był gotów o godzinie 14-ej, o 16-ej szykujemy się do dalszego marszu. Przyjechał z Jabłonowa gen. Bołtuć, który mnie zawiadamia, że podlegam dowódcy 14 p. p. Wysyłam rowerem swego adjutanta do dowódcy 14 p. p., którym jest b. profesor Wyższej Szkoły Wojennej. Adjutant wraca z rozkazem, z którego wynika, że batalion obozuje w okolicy ostatniej stacji kolejowej na szlaku Brodnica-Jabłonowo, oddalonej o 5 km. od tego ostatniego. Zajmują nowe stanowiska, wyznaczając rejony dla kompanij. Dowództwo bataljonu mieści się w dworze na skrzyżowaniu szos. Łączę się telefonicznie z dworu przez pocztę w Jabłonowie z dowództwem 14 p. p. O godzinie 19-ej mam pojechać na odprawę do dowództwa. Szykujemy się do noclegu. Ludzie po zrobieniu około 50 km, w ciężkich niedopasowanych butach pokaleczyli nogi, pragną odpoczynku i posiłku. Przygotowuję się do „odprawy“ — gospodarze zaś dworu, ludzie bardzo gościnni, śpiesznie podają kolację dla oficerów. Wtem niespodziewany telefon: dowódca 14 p. p. odwołuje mój przyjazd i rozkazuje natychmiast maszerować do Jabłonowa z całym batalionem.

Mimo to, że żołnierze-rezerwiści rozeszli się po kwaterach i poszli spać w większości bez kolacji, wydają rozkaz do dalszego marszu. Młodzi oficerowie niechętnie wykonują rozkaz, gdyż rodzina w majątku była bardzo gościnna i liczna. Moim porucznikom trudno było się rozstać z wesółymi paniami z dworu. W rodzinie tej nie odczuwało się, że nadchodzi wojna. Nie przeczuwano zbliżającej się burzy, nie chciano w nią wierzyć. Porostu traktowano nas, jak wojsko na ćwiczeniach. Co więcej — wierzono w siłę tego wojska, które nie dopuści „szwabów“ do majątku, lecz samo zwycięsko pójdzie naprzód...

Jest godzina 21. Maszerować!... Kolumny z miejsca zaczynają się ociągać. Robią wrażenie tłumu. Strofuję dowódców i podoficerów, 10 km. maszerujemy aż trzy godziny. Jesteśmy nareszcie w Jabłonowie. Podoficer służbowy doręcza mi pakiet: jest to rozkaz marszu do wsi Buk Góralski dla zluzowania II bat. 63 p. p. Wspomniana wieś leży w odległości 5 km od miasta, po dojściu tam będziemy mieli za sobą zrobionych pieszo 60 km w ciągu jednego dnia. Gdzie się podział 14 p. p. — nie wiem. Szukam dowództwa II/63 p. p.: urzęduje w budynku miejscowej szkoły. Dowodzi batalionem major — Gruzin na kontrakcie. Dobry oficer i będzie się bił za obcą mu sprawę. Orientuje mnie szybko w sytuacji, w rodzaju miejscowych urzędzeń obronnych i potrzeb oraz zadań do zrobienia. Wysyłam kompanje z jego przewodnikami. Wielu moich ludzi pozostało w ciemnościach nocy po drodze. Jest godzina 2 w nocy 30 sierpnia.

Batalion 63 p. p. porzucił zajmowane stanowiska i o 3-ej odmaszerował do lasów pojezierza w kierunku wsi Słup. Pojechałem konno obejrzeć nowe stanowiska. Nie mogłem nigdzie znaleźć dowódcy trzeciej kompanji. Nikt mi nie potrafił wytłumaczyć, gdzie się oficer podział. Jego żołnierze spali w najlepsze, owinięci w nowe płaszcze. Zbudziłem plutonowych i kazałem przystąpić z dwoma plutonami do pracy nad rozszerzeniem i pogłębieniem stanowisk obronnych nad rzeczułką. Trzeci pluton, na mój rozkaz, ma spać dalej. Zmieniać się plutonami, co dwie godziny.

Dowódca pierwszej kompanji wykazał więcej poczucia obowiązku; zorganizował bodaj służbę, wszyscy wiedzieli, gdzie on przebywa. Największy porządek zastałem w kompanji karabinów maszynowych. Każdy karabin stał na stanowisku z obsługą, a jeden pluton pełnił służbę przeciwlotniczą. Nadjechał dowódca baterji haubic 4 pułku artylerji, porucznik Z. Omówiliśmy detale współpracy. Ludzie szykowali się do posiłku, w którym było ciągle źle. 30 sierpnia nie otrzymaliśmy chleba dla baonu. W Jabłonowie zakwaterowało się dowództwo 208 pułku, w skład którego weszły: mój baon, taki sam baon szturmowy z 16 Dyw. Piechoty, baon Obrony Narodowej z Brodnicy, O. N. z Jabłonowa i chwilowo podporządkowany dowódcy 208 p. p. ppłk. Szewczykowi II. baon 14 p. p. pod dowództwem majora — Białorusina K.

Nie mam centrali telefonicznej, dlatego 6 swoich aparatów telefonicznych użyłem w ten sposób: 4 aparaty dla kontaktu z kompanjami czołowymi, 2 pozostałe dla kontaktu z pułkiem w Jabłonowie. W wypadku telefonatu trzeba było biegać od aparatu do aparatu. Zapowiada swój przyjazd dowódca pułku ppłk. Szewczyk. Przyjeżdża. Zadaje mi szczegółowe pytania. Odpowiadam. Proszę o ręczne karabiny maszynowe, granaty, jednostajne karabiny, bagnety, których wcale nie mam, hełmy, lekarza, sanitariuszy, łopatkę, telefony, kuchnie. Dwa dni już nie otrzymuję chleba, ani produktów do kuchni. Ppłk. Szewczyk daje mi rozkaz sporządzenia wykazów z zapotrzebowaniem. Wyjaśniam, że dowództwo dywizji oraz sztab Grupy posiadają już takie wykazy. Nic nie szkodzi, odpowiada, wykazy przydadzą się również w dowództwie pułku. Pocięsza mnie tym, że Obrona Narodowa z Jabłonowa również nic nie posiada, a mimo to jest w składzie pułku. Zrobiłem na niego, zdając się, niezłe wrażenie, bo obszedł się ze mną grzecznie.

Nad ranem przywieziono znów dwa samochody ciężarowe z 18 R. K. M.-ami, 20 lornetekami, skrzynie z nabojami i bagnetami, skrzynie z granatami. Maszynki są typu Brauning nowiuteńkie, nie mają jednak magazynków.

Zaledwie po 6 sztuk na kompanie. Trzeba będzie, widocznie, strzelać pojedynczymi strzałami. Żołnierze mówią, że odkradną je u tych, którzy mają więcej. Między innymi przywieziono mi 150 nowiuteńkich karabinów Mausera. Ucieszyłem się bardzo, mogąc nareszcie wyrzucić stary chłam z 1885 roku. Uzbrojona w te dziwaczne muszkiety kompania z poczuciem zadolenia zaopatruje się w nowe karabiny, przywiezione „z dyspozycji ministra spraw wojskowych“ z Torunia. Sierżant, który przywiózł transport prosi mnie o doręczenie połowy przywiezionego sprzętu Obronie Narodowej z Jabłonowa. Zgadzam się, jednak karabiny zabieram sam, ponieważ O. N. ma wcale dobre karabiny francuskie. Stanowisko mojego oddziału zagrodzone było od granicy pojedynczą linią drutu kolczastego, przed którą znajdował się dosyć głęboki rów przeciwko czołgom. Wystarczyło spojrzeć na ten rów, ażeby wiedzieć, że nawet tankietki go przeskoczą. Barykad na szosie nie było. Dowódca 1-ej kompanii ścina rosące nad drogą lipy. Ppor. Szewczyk powiedział mi podczas swej krótkiej wizyty, że na moim odcinku, są patrole saperów, które w razie ataku niemieckiego mają wysadzić, na jego rozkaz, dwa mosty w powietrze. Na odcinku mojego południowo — zachodniego sąsiada — t. z. 1/14 p. p. podminowany został most kolejowy z Grudziądza do Jabłonowa oraz kircha niemiecka na przedpolu. Huk tych detonacyj ma być znakiem wybuchu działów wojennych. Pomijam różne tarcia i narzekania wśród korpusu oficerskiego. Doszło do tego, że musiałem poczynić zmiany na stanowiskach dowódców kompanji. Bez upominania się nie otrzymywałem ani jednego raportu, a jeśli któryś dowódca przysyłał nareszcie jakiś szkic, to był on wykonany tak, że odcyfrowanie jego wymagało godzin i przekleństw. Oficerowie nie umieli pisać meldunków sytuacyjnych. Nie mieliśmy pieczęci, ba, brakło nawet papieru. Mój adiutant posyłał do Jabłonowa po papier za własne pieniądze i dzielił go pomiędzy kompanie. Wśród takich okoliczności nadszedł świt 1-go września 1939 roku.

Udało mi się wkońcu zaprowadzić jaki-taki ład w tym wszystkim. Porównywałem zarządzenia charakteru improwizacyjnego z tym, co już kiedykolwiek w życiu oglądałem. Mówiono ogólnie, że Moskale, w czasie wojny światowej, byli głupcami. Brałem udział w wojnie światowej, jako oficer armji rosyjskiej, widziałem wiele, znajdowałem się nieraz w bardzo poważnych sytuacjach. Niema porównania! W armji rosyjskiej robota organizacyjna wyglądała o wiele poważniej. Żołnierz rosyjski i młodszy oficer był o wiele lepszy od naszego: nie spotykałem tam tyle tchórzostwa, bezładu i bałaganu, co obecnie. Cóż będzie, jeśli wojna naprawdę wybuchnie?

Wojna

O godzinie 4 rano przeleciał nad dowództwem batalionu niemiecki samolot bombardujący, wracając na zachód. Nic jeszcze nie wiem oficjalnie, domyślam się jednak, że wojna zaczęła się już naprawdę. Nadchodzą patrole wywiadowcze z meldunkami: Niemcy przeszli o godzinie drugiej granicę Prus Wschodnich oraz zajęli polskie wsie i folwarki nadgraniczne. Dowódca patrolu saperów okazał się gapą. Pancerne samochody niemieckie zbliżyły się do mostu, który miał wylecieć w powietrze, opanowały go, patrol rozpuściły; jeden kapral pozostał zabity na miejscu pierwszej potyczki. Uciekł tylko saper, który teraz stoi przede mną. Dlaczego nie zerwali mostu? Bo czekali rozkazu dowódcy pułku. Drugi most wyleciał w powietrze.

Świątynia niemiecka dotychczas stoi. Oznacza to, że dowódca 1/14 p. p. nie wie jeszcze nic o wybuchu wojny, a może też oczekuje na rozkaz wyższego oficera.

Zarządzam ostre pogotowie na całym odcinku. Wysyłam patrol na 8—10 km przed front. Melduję do pułku, że coś się dzieje; czy oni mają jakieś wiadomości? Adjutant pułku mówi, że wojna wybuchła, głos mu drży, słowa więzną w gardle. Proszę do aparatu dowódcę. Podchodzi ppłk. Szewczyk, mówi głosem zdenerwowanym, ale jest opanowany. Melduję mu o swych zarządzeniach. Aprobuję i każe przysyłać co 2 godziny pisane meldunki sytuacyjne. Obawiam się ze swej strony, że zabraknie mi ludzi do ich wysyłania. Będę je raczej posyłał co 6 godzin w czasie ciszy i w każdym wypadku doraźnym ważnego znaczenia. Posunąłem się ze swoim odwodem bliżej ku linii. Staram się telefonicznie uspokoić dowódców kompanij. Rozstawić patrole, rozdać granaty ręczne, czekać spokojnie na rozwój wydarzeń! Nieco później objechałem całą pozycję konno. To uspokoiło zatrzwożonych ludzi. Na krótko przed 9 rozległ się od strony Prus Wschodnich strzał artyleryjski. Nad nami przeleciał nabój ciężkiego kalibru i wybuchł w Jabłonowie. Kanonada trwała do wieczora bez przerwy. Po południu zauważyłem 18 samolotów, posuwających się nad torem kolejowym Deutsch Eylau—Jabłonowo. Zaczęło się bombardowanie stacji kolejowej oraz zameczku, w którym przebywało dowództwo 208 p. p. Bombowce leciały bardzo nisko, robiąc wrażenie szczupaków, płynących trójkami. Bomby spadały paczkami, przeważnie po pięć, co robiło olbrzymie wrażenie na żołnierzach. Moi łącznicy z Jabłonowa opowiadają, że ludność miasta jest całkowicie zaskoczona. W mieście zaczął się rabunek, sklepy porozbijano, domy mieszkalne stoją opuszczone. Już na pierwszy dzień?! Moi żołnierze łącznicy też wykorzystali okazję, przynosząc zabrowany tytoń, papierosy, wódkę, koniak... Zabroniłem im używać alkoholu. Samoloty bojowe zaczęły nas odwiedzać coraz częściej.

W nocy z 1-go na 2-go września daje się słyszeć bardzo nieregularna i bezładna strzelanina na odcinku drugiej kompanij. Zapytuję dowódcę kompanij, co się u niego dzieje. Długo nie podchodzi do aparatu, nareszcie donosi mi, że Niemcy dokonywują ataku na jego oddział. Stawiam mu pytania: jakie są oznaki tego natarcia, czy słyszał gwizd kul na własne uszy, czy żołnierze widzieli Niemców? . . . Odpowiada, że coprawda kul nie słychać, ale żołnierze napewno widzą wroga, skoro otwarli ogień karabinowy i rzucają granaty. Wsłuchuję się w ten atak: artyleria milczy, karabinów maszynowych nie słychać. Daję rozkaz zaprzestania strzelaniny.

Zawołałem plutonowego-podchorążego z odwodu. Wydaję mu rozkaz: ma zabrać jedną drużynę z plutonu w celu spatrołowania przedpola, folwarku i pobliskiego lasu. Podchorąży dostał szoku i trzesąc się oznajmia mi, że nie pójdzie na ten patrol, bo pod drutami siedzą Niemcy i on się boi. Pozbawiłem go dowództwa nad plutonem, wysłałem innego. Nie warto go było nawet oddawać pod sąd.

Dwóch innych podchorążych z 1/14 p. p. wykazało niecodzienną odwagę. Otrzymałszy rozkaz podpalenia sznurów bikfordowych, którymi oplątano kirkę niemiecką, wykonali go, choć wybuch nie nastąpił. Wrócili z powrotem. Patrzą, zaledwie kilka metrów sznura zostało niedopalonym do materiału wybuchowego, zachowanego we wnętrzu kirkhy. Odważni podchorążowie podpalili sznur i zdążyli uciec. Nastąpił straszliwy wybuch, słup białego dymu rozwiął się i kościół przestał istnieć. Zrobiło mi się przykro na ten widok.

Podczas całej tej kampanji widziałem mało, bardzo mało objawów zimnej krwi i poświęcenia. Rankiem 2-go września daje się słyszeć ogień artyleryjski z pod Grudziądza. Samoloty bez przerwy bombardują Brodnicę, Jabłonowo, Kowalewo, Toruń. Mówią, że Grudziądz już padł, bo bitwa zaczyna się na odcinku 1/14 p. p. Ku moim stanowiskom nikt nie nadchodzi. Ukazały się jakieś patrole i znikły. Jedyne od wsi Buk, zamieszkałej w większości przez Niemców słyszę pojedyncze wystrzały karabinowe. Oficerowie są wściekli i pytają, co z tym fantem robić. Odpowiedziałem, że nie należy zwracać uwagi.

W dowództwie pułku nerwy wzięły górę. Raz-po-raz wzywają mnie do aparatu. Adjuvant pułkownika zasypuje mnie najdziwniejszymi rozkazami. Rozgniewało to mnie nareszcie, więc powiedziałam mu otwarcie, że jest zbyt młody, ażeby mieszał mi się do mych najdrobniejszych spraw. Telefoniści przynoszą mi fonogram dowództwa pułku: Mam maszerować natychmiast z całym batalionem na granicę pruską! Zastanawiam się nad tym rozkazem. W międzyczasie wzywa mnie do aparatu drugi adiutant i zapytuje o moje nazwisko. Odpowiadam, że mam również adiutanta, którego on może fatygować w takich drobnych sprawach. W terminologii adiutantów często powtarzały się słowa „niezwłocznie“ i „natychmiast“ i to pozostające w związku ze sprawami, które mogły być załatwione zupełnie dobrze w ciągu 2—3 godzin. Wzywa mnie nareszcie do telefonu sam dowódca. Rozkazuje mi oddać dowództwo nad batalionem, samemu natomiast zameldować się w pułku. Jadę konno. Po drodze spotykam grupę chłopów niemieckich, którzy na mój widok uciekają. Pod Jabłonowem opodal szosy ustawiono jedno działo przeciwlotnicze; tuż nad nim krąży samolot niemiecki, prażąc z karabinu maszynowego . . . W mieście widać już ślady bombardowań. Ulice opustoszały. Szukam dowództwa w Zamku, znajdującym się pod ciągłym ogniem artylerji. W parku zamkowym leżą zwłoki ludzi i poszarpane ścierwa końskie. Nikt nie interesuje się zabitymi. Leżą tam, gdzie śmierć się nad nimi ulitowała. Rój much pokrywa martwe ciała. Nie znalazł się nikt, kto by je zechciał przykryć bodaj derką. Wybucho pocisk. Odlamki przelatują tuż koło mnie. Mam jednak szczęście! Znalazłem dowództwo. Melduję się. Adjutanci spoglądają na mnie zukosa. Podplk. Szewczyk oraz major z artylerji wchodzą ze mną do pokoju. Zaczyna się rozmowa: dlaczego nie wykonuję rozkazów?! Wyjmuję fonogram i zapytuje, co by się stało, gdybym, na przykład, wykonał taki rozkaz. Dowódca jest zdziwiony. Dodaje, że nie potrzebuję nauczek, jak mam się ubezpieczać, lub rozpoznawać. Jest to mój obowiązek regulaminowy. Adjutanci muszą spokojnie pracować i wydawać rozkazy. Na tym się skończyło. Pojechałem z powrotem do batalionu.

Wszyscy są zdziwieni, że nie widać ani jednego polskiego samolotu. Zdaję sobie — oczywiście — sprawę, że Niemcy są panami powietrza. Wieczorem zawiadamia mnie dowódca baterji haubic, że ma rozkaz od dowódcy dywizjonu, zapalenia folwarku i dwóch stert ogniem artylerji. Powiadam, że ma wykonać rozkaz, jakim go otrzymał. Zaczyna się ogień, wszystko płonie. Gdzieś daleko z obu stron wre bitwa. Nagle zaczynają się palić zabudowania na odcinku pierwszej kompanji. Cała kompanja cofa się do tyłu. Cóż tam u licha znowu? Wysyłam adiutanta, ażeby zatrzymał strzelców i wyjaśnił, co się stało. Okazuje się, że przyjechał jakiś ułan i na mój rozkaz zawiadomił, że kiedy zacznie palić się stodoła, będzie to hasło ataku niemieckiego; dlatego należy opuścić stanowiska. Z czyjej inicjatywy to zrobił, nie-

wiadomo. Dowództwo pułku zabiera wszystkie nasze kuchnie. Żołnierze są głodni. Wydaję rozkaz pobierania żywności wśród ludności wiejskiej, przeważnie niemieckiej. Oficerowie doręczają wieśniakom kwity. Już trzy dni trwa wojna, a wciąż jeszcze nie mogą się doczekać oficera gospodarczego, ani płatnika, mimo, że obydwaj otrzymali odpowiedni rozkaz. I znów nastał świt. Odgłosy bitwy są coraz bliższe. Artyleria na naszych skrzydłach strzela bez przerwy. Samoloty bombardujące nieprzyjaciela dezorganizują nasze tyły. Wracają na lotniska macierzyste nad naszymi liniami, lecąc niziuteńko. Nasze ciężkie karabiny z nabojami pancernymi strzelają do najbliższych. Podobno, strąciły kilka z nich.

Pogłoski

Już podczas mojego postoju z batalionem szturmowym na stanowiskach bojowych pod Jabłonowem, podano nam „informacje“ ze sztabu 208 p. p., według których, wojska nasze zniszczyły w rejonie Górnego Śląska 100 tanków niemieckich, drugie sto biorąc do niewoli. Po kilku godzinach nadeszły nowe wiadomości. Tym razem „zbombardowaliśmy z Anglią i Francją, które wypowiedziały Niemcom wojnę, całe miasta przemysłowe na zachodzie Rzeszy“. Nareszcie nowa serja: kawaleria polska wdarła się od strony Litwy do Prus Wschodnich, a generał Dą-Biernacki maszeruje przez ten kraj na spotkanie desantom angielskim. Anglicy mieli wylądować przy pomocy floty w Królewcu i w Gdańsku. Nasz własny odwrót na wschód oraz w kierunku południowo-wschodnim tłumaczyli wyżsi dowódcy koniecznością skrócenia frontu, w myśl zgóry przewidzianego planu strategicznego, w celu połączenia się armji generała Bortnowskiego z armią gen Kutrzeby. Po tym ma nastąpić wspólne uderzenie na „nieostrożnych Niemców“, którzy dadzą się wciągnąć w głąb kraju.

Generał Bołtuć, dowódca naszej grupy miał do wykonania ciekawe i ważne zadanie. Całą siłą zwej grupy, złożonej z 4, 5 i 16 dywizji miał uderzyć z okolicy jezior Brodnickich w bok korpusu niemieckiego, maszerującego — według przewidywań naszego sztabu — na Jabłonowo. Gdyby atak niemiecki rzeczywiście był poszedł w kierunku z Deutsche Eylau przez Nowe Miasto—Radoszki—Górzno—Rypin, wtedy grupa generała Bołtućia potężnym uderzeniem z boku na wschód mogła zatrzymać marsz niemiecki na terenie powiatu brodnickiego, po przejściu przez rzekę Drwęcę. Plan nie udał się, ponieważ korpusy niemieckie poszły w kierunku innym od tego, którego oczekiwał i na którym budował swoje nadzieje gen. Bołtuć. Gen. Bortnowski wydał rozkaz odwrotu całej armji, otoczonej zewsząd dużymi siłami nieprzyjacielskimi, pozbawionej swobody ruchów wewnętrznych. Nie ulega kwestji, że gen. Bortnowski należał do najzdolniejszych oficerów sztabowych armji polskiej; dobrym dowódcą był też gen. Bołtuć. Obydwaj jednak nie wzięli pod uwagę znaczenia lotnictwa wojskowego: przewaga lotnictwa niemieckiego przekreśliła już w pierwszym dniu działań wojennych wszystkie dobrze przemyślane i obliczone plany obydwu generałów. Obrony przeciwlotniczej nie posiadaliśmy; nie można bowiem nazwać nią jednego dywizjonu, złożonego z trzech baterij „pukawek“ przeciwlotniczych, obsługujących całą armję. Armatki te miały zresztą więcej ładunków dymnych-smugowych, niż ostrych. Lotnictwo polskie zaprzepaściło najodpowiedniejszy czas; nie wystartowało w przestworza w momencie wybuchu działań wojennych i pierwszego nalotu nie-

mieckiego. Nie wykonało ono własnej koncentracji, pozwalając brakiem czujności na zbombardowanie lotnisk i hangarów lotniczych. W dniach, kiedy nad naszymi głowami rwały się pociski dział niemieckich, a zaraz po nich nadlatywały całe eskadry lotnictwa, niszczącego prawie bezkarnie połączenia i wszelkie próby koncentracji armij, daremnie wpatrywaliśmy się w niebo poza siebie, wyczekując, jak zbawienia, pomocy własnego, ośpięwanego lotnictwa polskiego. Byli i tacy oficerowie, którzy rzeczywiście spoglądali w stronę Gdańska, oczekując ukazania się eskadr francusko-angielskich. Z każdym dniem naszego odwrotu nadzieje malały. Nie wiem do dziś dnia, ile było prawdy w tym, co w swoim czasie opowiadano o generale Rajskim, dowódcy polskiego lotnictwa, który miał, podobno, odmówić czeskim lotnikom prawa lądowania w Polsce na ich prośbę i chęć ucieczki przed zbliżającymi się wojskami niemieckimi do Pragi. Mówiono o nim zresztą na wiosnę 1939 bardzo dużo innych rzeczy, niewątpliwie graniczących z fantazją. Pamiętam jednak, że wśród młodszych oficerów i żołnierzy, zmęczonych przeraźliwym gwizdem bomb niemieckich, z ironją i bólem przebąkiwano, że lotnicy nasi w czasie pierwszych nalotów „pili kawę po kawiarniach“. Naczelný wódz również patrzył na wojnę współczesną z punktu widzenia byłego dowódcy batalionu, pozostawiając — o ile mi wiadomo — większość najlepszych polskich jednostek lotniczych, złożonych z aparatów typu „Łoś“ w odwodzie strategicznym, który to zapas legł w gruzach i spłonął już drugiego czy trzeciego dnia wojny. Najgorzej było jednak z zaopatrzeniem armji: według planu „mob.“ intendentura miała zacząć swoją funkcję 13-go dnia wojny! Dlatego w czasie błyskawicznych wydarzeń wrześnieowych, kiedy decydowały już nie dni, lecz godziny, polski żołnierz nie miał co jeść, ani pić, nie miał nawet papierosa. Nikogo nie było, kto by mu zechciał zamienić zepsutą czy zniszczoną broń, kto by dostarczył nabojuów do karabinu i pocisków do armat. Polowe szpitale w małej ilości istniały coprawda, lecz nie były należycie zaopatrzone w leki i materiały opatrunkowe. Czy w takich warunkach mogły mieć wpływ na bieg rzeczy zdolności kilku generałów, poświęcenie i bohaterska odwaga jednostek z korpusu oficerskiego i szeregów braci żołnierskiej? Wszystkie ofiary szły na marne, krew przelewano w chaosie, nie wiadomo dla jakiej sprawy. Znaleźliśmy się otóż na drogach ciężkiego odwrotu. Zaczynały się objawy demoralizacji. Regularne siły zbrojne zaczęły się przekształcać w armię maruderów, pustoszących „własny kraj“, spekulujących na psychologii i przywilejach „rozbitków“.

Stwierdzić należy poza tym w sposób kategoryczny, że armia polska nie była zupełnie wyszkolona i przygotowana do biernej obrony przeciwlotniczej. Oficerowie wyznawali się na tej dziedzinie wiedzy wojskowej teoretycznie, wykazując w praktyce zupełną bezradność. Wystarczyło huk motoru samolotu niemieckiego, ażeby batalion rozprysnął się samowolnie w różne strony, zanim jeszcze zdołano wydać jakiś rozkaz lub sygnał. Ażeby zebrać rozprószony batalion, trzeba było godzinami uganiać się konno po polu, z nahażem, wyciągając nawet oficerów z bródz i betonowych dziur na szosach. Po kilku takich rozsypkach brakło zazwyczaj połowy batalionu, ponieważ większość zamieniała się w „rozbitków“. Ci rozbitkowie nazajutrz lub na trzeci dzień przychodzili do kuchni, zazwyczaj pojedynczo. Iluż z nich zamieniało się poprostu w dezertersów, za działalność których w stosunku do zdrowia i mienia ludności cywilnej nikt nie mógł ponosić odpowiedzialności. Widziałem także złe przykłady w postępowaniu oficerów. Nie

zapomnę tego nerwowego dowódcy batalionu, który na sygnał lotniczy, cwałem ruszył konno w bok, pozostawiając batalion własnej inicjatywie, sam zaś chroniąc się w cieniu wierzby, rosnącej conajmniej w odległości półtora kilometra.

Największym przestępstwem był jednak rozkaz, przypisywany ogólnie płk. Umiastowskiemu z Polskiego Radja, wzywający ludność cywilną do dobrowolnej ewakuacji i ucieczki na wschód. Najspokojniejszą ludność ogarnął istny szal peregrynacji. Dziesiątki tysięcy wozów z setkami tysięcy uciekinierów, rowery, auta, tabuny krów, procesje pieszych i dziatwy szkolnej — wszystko to lawiną pędziło na wschód, zatarasowując drogę na skrzyżowaniach, a jednocześnie tworząc wspaniały cel dla nalotów nieprzyjaciela. Czy w takich warunkach mogły się odbywać normalne ruchy armij? Zaiste warty był kuli ten patryjotyczny i sentymentalny pomysł inscenizacji nowoczesnego, upiornego „najazdu Tatarów“.

Im dalej cofaliśmy się na wschód tym więcej spotykaliśmy uciekinierów. Uciekali już nie tylko Polacy, lecz także Niemcy, którym kazano opuścić miejsca zamieszkania. Wśród mas uciekinierów szerzyć się zaczęła dziwna panika, psychoza lęku przed szpiegami. Widziałem, jak ktoś nazwał starą kobietę z postradanymi zmysłami szpiegiem. Zdemoralizowani żołnierze zatrzymali nieszczęsną wariatkę i zaczęli się nad nią znęcać. Uwolnił ją jakiś nieznajomy oficer. Wśród uciekinierów niemieckich „wykrywano“ raz po raz szpiegów, dokonując nad nimi samosądów na drogach, lub odsyłając podejrzanych do dowództw jednostek wojskowych, gdzie ich roztrzeliwano. Działo się to wszystko, oczywiście, bez postępowania sądowego, bo żadne wojskowe sądy nie istniały. Każdego, kto miał nazwisko niemieckie, nawet najlepszego Polaka z przekonań można było lada chwila oskarżyć o sprzyjanie Niemcom. Na szlakach, którymi nasze wojska uchodziły z Pomorza wiele jest mogił niewinnych ludzi, ofiar, strasznej psychozy wojennej, zabijającej moralność, rozkładającej szereg naszej armii bardziej, niż faktyczna działalność propagandy nieprzyjaciela.

Toczmy się otóż z masami wojsk na południowy-wschód. 208 p. p. zajmuję stanowiska na linii Kruszyny—Niedźwiedź. Nieprzyjaciela przez cały dzień nie widać. Tylko w powietrzu krążą bombowce. Oddział żołnierzy z kapitanem na czele zrewidował pałac niemiecki w Kruszynie, gdzie znalazł dobre wino, zachowane w piwnicach. Zbliżyliśmy się do Drwęcy. Ponieważ w ciągu ubiegłej nocy widzieliśmy dużo rakiet świetlnych nad Brodnicą i Dobrzyńniem, domyślaliśmy się, że Niemcy są blisko. Żołnierze mimo zmęczenia starali się czym prędzej przedostać na drugi brzeg rzeki. Drewniany most jest zapchany wozami uciekinierskimi. Przepchałem się i ja ze swoim batalionem. Otrzymałem rozkaz: bronić przejścia przez Drwęcę w tym miejscu, utrzymując łączność z 67 p. p. na północ w kierunku Brodnicy oraz z 14 p. p. w kierunku Gołabia. Obsadziłem rzekę dwoma kompaniami z karabinami maszynowymi, dowództwo zaś lokuję na pobliskim wzgórzu w folwarku polskiego senatora. Folwark już kipi od małych oddziałów piechoty i 4. pułku artylerji.

Właściciel majątku — senator Rzeczypospolitej — zgłasza się na ochotnika do wojska. Umie dobrze latać, jest pilotem. Wszyscy jego „goście“ żywią się na jego koszt. Żołnierze błakają się po salonach i czegoś szukają. Pod pałacową ścianą leży kupka rozsypanych numizmatów, to z kolekcji córki senatora. Słyszę krzyki na podwórzu i przyglądam się takiemu wypadkowi: senator oddał wszystkie konie i cały majątek na rzecz armii, sam zaś zgłosił

się do wojska, zostawiwszy sobie jedyne osiodłanego wierzchowca. Ujrzał go żołnierzyna z 4 palu i zabiera dla siebie. Senator prosi żołnierza, żeby pozostawił mu ostatniego konia. Wtedy żołnierz zdejmuje karabin i mierzy w piersi państwowego dostojnika. Nikt spośród oficerów i żołnierzy na to nie reaguje. Posłałem młodego oficera, ażeby skuł mordę żołdakowi. Dzięki temu koń senatora został uratowany dla właściciela.

Dzień minął spokojnie. Zalegała cisza, przerywana od czasu do czasu warkotem bombowców. Tylko na linii Dobrzyń—Rypin dały się słyszeć wybuchy bomb. Wieczorem otrzymałem od dowódcy 208 p. p. rozkaz spalenia mostu na Drwęcy. Jeden z dowódców kompanii ma wykonać ten rozkaz przy pomocy dworskiej słomy i nafty. Tym czasem bez przerwy ciągną tabory uciekinierów. Jeszcze ponad półtora tysiąca wozów znajdowało się za rzeczką, kiedy most zaczął się palić. Ludziska szaleli z rozpaczy na ten widok. Nie pozostawało im nic innego, jak tylko powrót do domu. Z pewnością po tym dobrze nas wspominali za przysługę i za skrócenie męczarni wędrownych. Wieczorem maszerujemy na Lipno. W miasteczku taki zator wozów, że poprostu trudno jest się przepchać. Wozy jadą dwoma szeregami. Ruch wojska jest już zupełnie niemożliwy. „Biwakujemy“ w miasteczku. Utrzymujemy się własnym kosztem i sprytem. Lipno mocno ucierpiało od bomb lotniczych. Trupy leżą na ulicach i nikt nie troszczy się o ich pogrzebanie. W miasteczku tym dokonano samosądu nad całą grupą „szpiegów“. Rozstrzelano ich na łące pod miastem za „radiowy kontakt“ z Brodnicą, która — jak się okazało — była jeszcze w polskim ręku. W nocy z 6 na 7 posuwamy się w kierunku Włocławka za Wisłę, gdzie pod Wieluniem toczy się wielka bitwa. Mostu jednak nie przeszliśmy, staliśmy w lasach cały dzień. Następnego nocy nowy rozkaz marszu: zając z batalionem wieś Kruszyny, oddalone 15 km. na zachód od Włocławka. Mam zająć stanowiska ochronne. Maszerujemy. Na moście znać ślady bomb, jest on podminowany, miasto całe zaciemnione. Żadnego ruchu oprócz przeciągającego wojska. Mój batalion zaśpiewał piosenkę marszową. Jedyną, zdaje się, podczas tej wojaczki. Na skrzyżowaniu dróg Wieluń—Kruszyny jakiś oficer samowolnie oderwał mi tabor i jedną kompanję, skierowując na Wieluń. Kompanię później odnalazłem, tabor przepadł w obrzymim łańcuchu innych. Kuchnie odnalazłem dopiero pod wieczór.

Za Włocławkiem po lasach przesuwają się resztki 27 Dywizji Piechoty. W Kruszynach bałagan i ruch na wszystkie strony. Pełno krytych ciężarowych samochodów D. O. K. Toruń. Mam nowy rozkaz: obronę Kruszyn. Nad ranem okopaliśmy się i pozasypialiśmy zmęczeni na stanowiskach. Bez przerwy przewala się wąż uciekinierów: cywile, policja, harcerze, straż pożarna... Zbliża się do nas grupa inteligencji, przeważnie kobiet. To rodzina wojskowa z 4-go palu. Mówią, że w lasach włocławskich błąka się dużo kobiet, oficerów i podoficerów z dziećmi. Czy dobrze może walczyć oficer lub podoficer zawodowy, którego dzieci i żona błąkają się gdzieś po lesistej głąszy; kto ich nakarmi, co ich czeka?

Bitwa pod Kutnem

Zająłem więc ze swoim batalionem nowe stanowiska. Nie mamy chleba. Jak prawie zawsze od początku tej wojny. Nie przeszkadza to, że w tych samych nieszczęsnych Kruszynach, a więc w pierwszej linii frontu zatrzymał się jakiś magazyn intendantki, trzszczęcący od żywności, której nam nie chce wydać,

bo... „niema rozkazu“. Oficerowie intendentury włączają się pijani. Przed wieczorem na ten magazyn urządza jakiś maszerujący w pełnym rynsztunku bojowym oddział prawdziwy napad, grabiąc wszystko, co się da. Moi żołnierze też zaopatrzyli się w konserwy, papierosy i suchary.

O godzinie 18-ej wzywają mnie do sztabu pułku. 108 p. p. ulega likwidacji. Podpułkownika już nie zastałem, odjechał do 16. D. P. Pozostaje narazie mój batalion z oddziałem Obrony Narodowej. Należymy do pułku macierzystego, dowodzi nim ppłk. Sołtys.

W dowództwie ppłk. Sołtys poddał krytyce dotychczasową tajemniczość odnośnie sytuacji na frontach oraz numeracji oddziałów. Miał rację. Utrzymanie „tajemnicy wojskowej“ na początku wojny odznaczało się taką przesadą, że w końcu oddziały pogubiły się i nie rozróżniano już żadnego logicznego układu sił i formacji. Na wszystkich punktach postoju zgłaszały się masy żołnierzy z prośbą o wskazanie im miejsca pobytu pułków i dywizyj. Rzadko, kto wiedział, co z nimi począć. O tym, gdzie są pułki danej dywizji, nikt już nie wiedział. Zdarzył się nawet taki wypadek, że dowódca 16-ej dywizji nie wiedział, gdzie się podziela jego własna jednostka. Na zapytanie dowódcy grupy operacyjnej gen. B. poprostu odpowiedział: „Nie wiem, panie generale, odpływa.“ „Pan generał odpłynie natychmiast z dywizji“ — padła odpowiedź; niefortunny generał utracił powierzone mu dowództwo. Płk. S. oznajmił mi, że mój batalion ulegnie rozwiązaniu. Przy pułku macierzystym zostaną tylko żołnierze tego pułku, resztę odesłać do właściwych jednostek. Wróciłem do Kruszyn, zarządziłem zbiórkę batalionu. Cieszę się, że padła decyzja rozwiązania tego niezbyt udanego tworu. Prowadziłem już przez osiem dni batalion, a ani jeden mój żołnierz nie widział jeszcze Niemca, nawet wziętego do niewoli. Pójdą chłopcy do swoich własnych pułków, może dostaną tam pokarm i umundurowanie.

Polecam komendantowi żołnierzy z 16-ej dywizji odszukanie jej i wcielenie się w szeregi. Niestety, sytuacja jest śmieszna. Nie wiem, gdzie dywizja się znajduje. Nie mam mapy, nie mogę nawet wskazać przybliżonego kierunku. Wiem tylko jedno, że maszerujemy pod Kutno, omijając Wieluń od wschodu. Przypuszczam, że w tym kierunku maszeruje też 16 dywizja. Dlaczego nie dysponujemy własnymi mapami naszych rejonów? Dlatego, że sztaby nie zaopatrzyły się w mapy polskiego terenu państwowego, zabierając natomiast odnoszące się do terenu niemieckiego. Liczyliśmy się poważnie z ofensywą na Niemcy. Jak to śmiesznie wygląda z perspektywy kilku miesięcy pobytu w niemieckim obozie dla jeńców wojennych! Sztaby nasze miały mapy Prus Wschodnich, okolic Berlina i Śląska. Pożegnałem 180 żołnierzy odchodzących. Poszli. Nie ukończyłem jeszcze zbiórki pozostałego oddziału, gdy wtem wybuchła we wsłi pożar. Przyczyny nie da się ustalić. Padają domysły, że jest to sabotaż. Mam wrażenie, że jest to raczej nieostrożność. Błask ognia pośród nocy działa na żołnierzy i ich wyobraźnię. Skończyłem zbiórkę. W rozbitym i zrabowanym składzie otrzymaliśmy jeszcze pewną ilość produktów dla kuchni. Oczekuję swojego 67 p. p., który ma maszerować za 63 p. p., pierwsze kolumny już nadchodzą. Płk. Sołtys ustawia swój pułk Obrony Narodowej, złożony z dwóch batalionów „Brodnica“ oraz „Jabłonowo“ i pomaszeruje wślad za pułkiem macierzystym. Nareszcie nadchodzi mój pułk. Dołączam z 290 strzelcami i dwiema kuchniami. Kompanię karabinów maszynowych odesłałem jeszcze przedtem do 4 Dyw. Piechoty, w myśl rozkazu jej dowódcy płk. M., doręczonego mi przez jego zastępcę. Zastępca dowódcy 4 D. P. płk. Niezabitowski był ciekawą

postacią, należał bowiem do bliskiego otoczenia marsz. Rydza Śmigłego. Odnaczał się ten oficer szczególną niechęcią do Niemców i pchał swego marszałka do wojny z nimi. Wpływ jego na marszałka był tak silny, że gdy szef 11 oddziału Sztabu Generalnego, przed wybuchem konfliktu, ostrzegał naczelnego wodza na podstawie dokładnych danych o koncentracji wojsk niemieckich, Rydz wyrzucił go — ponoć — z gabinetu, raport podarł, sądząc że jego dane są przejawskrawione. Niezabitowski był, zdaje się, autorem wymyślonych bajeczek o „słabości“, „złym uzbrowieniu“ i „głodzie“ niemieckim. Maszeruję na czele swojego batalionu przez całą noc. Dokąd i przez jakie miejscowości, już nie pamiętam, bo mapy nie miałem. O świcie 9 września melduję się dowódcy pułku z trzema setkami ludzi. Dowódca ucieszył się na mój widok, polecając oddanie ludzi na postoju pod Kutnem batalionowi majora T., którego oddział poniósł znaczne straty w ludziach między jeziorami brodnickimi.

Wykonałem rozkaz po wschodzie słońca. Zostawiłem sobie jedynie wózek na rzeczy, żołnierza i luzaka do swojego wierzchowca. Nie mam przydziału służbowego, jestem wolny. Doznałem przez chwilę przyjemnego uczucia, zapytuję jednak dowódcę pułku o swój dalszy los. Dowódca mi odpowiada, że chętnie chciałby mnie widzieć na czele jednego z batalionów, niestety wszystkie miejsca są obsadzone. Batalionem pierwszym dowodzi major S. trochę Węgier, trochę „z naszej wiary“, drugim major T., trzecim major W. Pierwszy z nich mało znał się na sztuce wojskowej, chociaż posiadał 42 ordery, ostatni został awansowany w „Kopie“ i raczej orientował się w służbie granicznej. Najwięcej odwagi i doświadczenia bojowego wykazywał major T., którego w czasie pokoju należycie nie oceniono i w ciągu 12 lat nie awansowano na podpułkownika.

W naszej armii awansowano najczęściej jednostki o giętkim charakterze, zręczne, umiejące ładnie przemawiać i posiadające elastyczny kręgosłup. Ludzi doświadczonych, z charakterem, umiejących milczeć, przedwcześnie odsyłano na emeryturę. Kiedy wybuchła wojna, „odmłodzony“ korpus oficerski pierwszy załamał się moralnie.

Otóż dowódca pułku obiecał porozmawiać z dowódcą dywizji w sprawie mojego przydziału. Sprawa rozstrzygnie się wieczorem. Dowiaduję, się, że w pobliżu folwarku stacjonuje eskadra polskich samolotów, złożona z 10—15 maszyn. Przy pojawieniu się samolotu niemieckiego, lotnicy polscy wzbijali się w powietrze, atakując nieprzyjaciela. Były to pierwsze i ostatnie samoloty polskie, które widziałem podczas tej wojny. Obserwowałem z zainteresowaniem bój powietrzny między grupą myśliwców niemieckich i polskich, nie doczekałem się jednak jego wyniku. Uwagę moją zwróciły strzały w pobliskim lesie, przytykającym do dworskiego parku. Słyszę całe serie strzałów karabinowych. Zapytuję, co to za strzelanina. Odpowiada mi jakiś podporucznik z dowództwa pułku, że to kapitan dokonywa egzekucji niemieckich „szpiegów“. Otóż dokonuje się egzekucyj bez sądu polowego nawet przy sztabie pułku. Krążą najgłupsze gadki. Już nie warto wspominać o tych „grupkach cywilnych osób, zrzuconych przez samoloty desantowe“. To mogło jeszcze być. Ale oto ludność nasza zdążyła już zauważyć, że „bomby niemieckie padają wyłącznie na zabudowania polskie, a to dlatego, że mieszkający narodowości niemieckiej oznaczają swoje chaty i stodoły kupkami słomy“, ułożonej dookoła. Lotnicy to widzą i kierują się tymi obserwacjami przy bombardowaniu obiektów!

Naturalnie, podejrzanych gospodarzy niemieckich czeka wyrok bez sądu. 8-go wieczorem maszerujemy na Kutno. Jestem przy pułku, chociaż niczym nie dowodzę. Coś w rodzaju funkcji attaché zagranicznego, lub korespondenta wojennego. Nikt mi nic nie wspomina o mym nowym obowiązku.

Zbliżyłem się w dniu 10 września do grupy oficerów. W ciągu postoju 10-minutowego słyszę opowiadania o „600 angielskich i 100 polskich samolotach; miały one w ciągu nocy ubiegłej zbombardować Berlin, który od 700 lat swojego istnienia nie oglądał takiego dużego zniszczenia. Mówią, że w Niemczech wybuchły strejki i pociągi przestały kursować. W Rzeszy szaleje rewolucja, a rząd uciekł do Bawarii. Anglicy przy pomocy swoich korpusów ekspedycyjnych i naszych wojsk kawaleryjskich opanowali już Prusy Wschodnie. Żołnierze z wychudłymi i z głodu i ciągłych marszów policzkami słuchają tych cudnych bredni, chwytając łapczywie każdą kolejną porcję karygodnych bujd. Biedni oszukiwani, łudzący się ludzie.

Maszerujemy dalej, bez odpoczynku, bez końca, na wschód. Wstaje słońce, w oddali widać Kutno. Ślady bombardowań coraz częstsze. Mieszkańców niema wcale. Skręcamy na autostradę do Łowicza. Na tej drodze snują się masami uciekinierzy: jedni z Kutna do Łowicza, inni z Łowicza do Kutna. Orientuje się odrazu: jest to początek końca, bo coś podobnego może się dziać tylko w zamkniętym pierścieniu wojsk niemieckich, niewesoła perspektywa. 67 p. p. maszeruje trzema batalionami z taborem, oprócz tego artyleria z własnym taborem. Jesteśmy już 5 km za miastem. Obejrzałem się: jak w czasie pokoju na ćwiczeniach. Kolumny ścieśnione, tabory zmasowane. A gdyby tak nadlecieli lotnicy niemieccy? „Pryśnie“ bractwo tak, że po tym w ciągu kilku dni nie zdoła się pozbierać.

Nadjeżdża samochodem ppłk. Kumuniecki z adiutantem. Każe zatrzymać wóz i wzywa mnie do siebie. Proponuje mi oddanie konia luzakowi i zajęcie miejsca w aucie obok niego. Powiada mi, że gen. Bołtuć mianuje mnie dowódcą II bat. 14 p. p. Mam tam odjechać wieczorem. Zajmę miejsce majora, usuniętego przez generała za niezdarność. Wjeżdżamy na wzgórze 12 km za Kutnem. Kumuniecki orientuje się na mapie i powiada, że pułk zajmie stanowisko obronne od strony Łowicza, gdzie już trwa bitwa. Pułk będzie utrzymywać łączność z innymi pułkami 4 dywizji. Zawracamy, ażeby wezwać do siebie dowódców batalionów. Powiadam pułkownikowi, że kolumna nieostrożnie maszeruje, może się dać zupełnie lekko zaskoczyć bombardom niemieckim. Zaledwie zwróciłem na to uwagę, gdy wtem od strony Kutna dał się słyszeć warkot motorów. Eskadra, złożona z 9 samolotów zaczęła bombardowanie kolumny. Spłonęło kilka domów przy drodze. Jedna bomba trafia w tabor amunicyjny, raniąc kilku podoficerów. Lekarz pułkowy dostał postrzał z karabinu maszynowego. Powstała panika. Samochód nasz zatrzymał się w pobliżu płonących chat. Kilka bomb upadło w sadzie, może w odległości jakichś 50 metrów zaledwie, na szczęście, żadna nie wybuchła. W sadzie był podchorąży i gdyby nie wyjątkowe szczęście nie zostałoby po nim nawet śladu. W samochodzie znajdował się pies pułkownika, który z przestachu wyskoczył przez szybę. Pułkownik wysiadł, żeby go odszukać. Wysiadłem i ja z adiutantem. Obserwuję panikę. Pędzi artylerja, bidki z amunicją, żołnierze pierzchają na wszystkie strony, kryjąc się w kartoflach i w rowach przydrożnych. Dowódca I, bat. melduje, że nie podoła zebrać swego batalionu. Pułkownik jest wściekły. Rozkazuje, żebym ja to uczynił. Zrobiłem, oddałem zebrany

batalion jego zrezygnowanemu dowódcy. Zatrzymaliśmy się z pułkownikiem pod jakąś chałupiną. Bataliony poszły zajmować wyznaczone stanowiska. Włóczą się jacyś „rozbitkowie“. Rozległ się strzał pistoletowy? Co się tam znów stało? Szofer mówi, że pan kapitan z artylerji zastrzelił „szpiega niemieckiego“. Kto dowiódł, że był to szpieg, a nie Bogu ducha winny człowiek? — Nie, panowie, tak nie można. Z tym daleko nie zajdziemy!

Nad Bzurą

O zmierzchu powinienem odjechać do wyznaczonego mi 11 bataljonu 14 p. p., który ma się znajdować między Kutnem i Łowiczem. Z ciężkim sercem udaję się do dowódcy 67 p. p. w celu dokonania odmeldunku. I tu mnie spotyka przyjemne rozczarowanie: jest zmiana rozkazu, mam objąć dowództwo nad O. N. „Brodnica“, której dowódca również został usunięty przez generała Bołtucia.

Wyruszyłem do kwatery płk. Sołtysa, który dowodzi pułkiem O. N. Gdzie go szukać? Mapy nie mam, maszerujące oddziały nic nie wiedzą o O. N. Jadę konno w kierunku przybliżonym. Nadjeżdża samochód. Zatrzymuję go, ażeby zasięgnąć informacji. Jestem nieco zdziwiony: w aucie obok szofera siedzi gen. Bołtuć. Melduję się posłusznie, informując, że jadę celem objęcia dowództwa bataljonu O. N. i proszę o udzielenie informacji, gdzie mógłbym go znaleźć w masie maszerującego żołnierza. Gen. Bołtuć przypomina mi raz jeszcze, że mam zrobić porządek po leniwym poprzedniku. Pułk O. N. znajduje się w marszu do miasteczka Sobota nad rzeką Bzurą. Mam złapać pułk w marszu i omówić z pułkownikiem wszystkie sprawy, związane z moim przeniesieniem. Pułkownik ma już w rękę pisemne zawiadomienie o mej nominacji.

Generał odiechał. Polecilem żołnierzowi, ażeby bryczkę z rzeczami prowadził za mną. Ruszyliśmy z kopyta. Jechałem przez całą noc do tej Soboty. Nad rankiem dopędziłem maszerujące bataliony O. N. Na czele jednego z batalionów jedzie na bryczce, owinięty w płaszcz, major, którego mam zastąpić i śpi. Batalion maszeruje nieubezpieczony z przodu ani z boków. Od pułk. Sołtysa dowiaduję się, że Niemcy mają być w pobliżu. Dlatego on wyjeżdża naprzód autem dla orientacji, kolumna maszeruje za nim . . .

W pewnej chwili pułkownik zatrzymał się, czekając aż nadjedzie bryczka ze śpiącym majorem. Każe go obudzić. Pokazuje mu papier i poleca mi objąć dowództwo. Usunięty ma się stawić w dowództwie Dywizji. Jest śliczny ranek 11. września: mam więc znów dowodzenie bataljonem. Niemcy są za Bzurą. 14 p. p. już poszedł do natarcia. My też znajdziemy się wkrótce w ogniu. Całością dowodzi komendant 14 p. p.

Zebrałem w trakcie marszu dowódców kompanji. Powiedziałem, że pójdziemy niebawem do natarcia. Zaczyna się ogień artylerji. Zaterkotały karabiny maszynowe. Rozciągam kolumnę i przyspieszam marsz. Po dziesięciu dniach włóczęgi nareszcie wachamy proch. Otrzymamy nasz pierwszy ogień w tej wojnie. Może moja kula jeszcze nie została ulana?

Przyjrzałem się ludziom swojego bataljonu. Rezerwa, starsi ludzie, nierzadko z astmą, ubrani w liche letnie drelichy, uzbrojeni w karabiny francuskie. Nie posiadają hełmów, materiałów opatrunkowych, lekarza, sanitariuszy. Amunicji wystarczy na pół godziny. A jeśli te naboje wystrzelamy, to może — pozwalam sobie na gorzką ironję — Daladier lub Reynaud przydziela

następną, bo nigdzie już takiej amunicji nie dostanę. Dyscyplina batalionu niska. Oficerowie — poza jednym ze służby czynnej — wszyscy rezerwisci. Podoficerowie podobnie, tylko, na szczęście, mam kilku zawodowych sierżantów.

Zbliżamy się do miasteczka Soboty. Jest spalone, ponieważ przed kilku dniami odbywały się tu wielkie walki. Mosty na Bzurze są zerwane. Artyleria polska zaczyna odpowiadać niemieckiej. Natarcie 14 p. p. rozwija się. Podprowadzam swój batalion, kryjąc go rozrzuconym w trójkącie za folwarkiem. Pada pierwsza ofiara walki: plutonowy, Białorusin, Piotrowicz, trafiony kilkoma kulami karabinu maszynowego. Jego kompania jest bardzo przygnębiona. Samoloty nie biorą udziału w walce z żadnej strony.

Zapytuje swoich ludzi, czy coś jedli? Jedli. Kiedy? Nie pamiętają. Wczoraj pozostali bez kolacji, maszerowali całą noc, dziś nie dano im śniadania. Zwracam się do pułkownika z propozycją, napoły zaś prośbą, podciągnięcia kuchni, ażeby ludzie nie byli głodni, idąc do natarcia. Pułkownik odpowiada, że trudno jest o tym narazie myśleć. W każdej chwili może się zacząć natarcie: pójdziemy na pomoc 14 p. p., który załamał się i zaczyna wycofywanie. Rzeczywiście koło godz. 9-ej zjawia się dowódca 14 p. p. z rozkazem opanowania drugiej wsi na wzgórzu na wysokości wsi Lisowice. Wydaję rozkaz bojowy. Forsujemy Bzurę po kładce i wchodzimy w las, z lewej strony którego, z za folwarku kropi całymi seriami niemiecka bateria. Podchodzimy niepostrzeżenie do stawów, spędzając baterię ze stanowiska. Ogień milknie. Opanowujemy pierwszą wieś nad doliną. Widzę 6—7 dużych samochodów, z których wyskakują Niemcy, kładąc się tyralierą do obrony. We wsi jest moja kompania, po której niechętnie kropią nasze polskie haubice. Mam 8 rannych i 10 zabitych. „Pięknie“ strzelają, niech ich jasny piorun!!! Nacieramy powoli, żeby osiągnąć i zdobyć wskazany cel. Zaczyna się muzyka niemieckich karabinów i artylerii. Staram się utrzymywać zimną krew swych ludzi bagatelizowaniem gwizdzących gęsto kulek i rwących się pocisków. Chodzę od dowódcy do dowódcy. Atak osłabł. Daję oficerom możliwość uporządkowania oddziałów i czekam zaprzestania ognia polskiej artylerji. Gdzieś znikł mój adjutant: wyłazi nareszcie, siedział w fosie, zakryty po uszy. Jedyne kpt. Busza coś robi i stara się wstrzymać ucieczkę do tyłu. Komendant drugiej kompanji jest ranny lekko w rękę. Na równinie mam kilku zabitych i rannych. Nie mogę ulżyć ich cierpieniom, braknie mi bowiem nawet pakietów indywidualnych. Jakoś udaje się nam przetransportować ich do tyłu.

Zbliża się pułk. Sołtys. Zapytuje: dlaczego batalion nie rusza do natarcia? Odpowiadam, że artyleria zamiast prażyć w Niemców, kropi w nas, co jej sił starczy. Proszę o wspieranie natarcia ogniem armatnim. Wiem zresztą, że nic z tego nie będzie, dlatego też sam po raz drugi chodzę do dowódców kompanji, spokojnie wydając rozkazy. Ogień trwa i znowu przybiera na sile. Żołnierze to widzą i podciągają się. Podrywam cały batalion do natarcia.

GDYBY MARSZAŁEK TO WIDZIAŁ . . .

Będzie, czy nie będzie? Raczej nie. Przecież Anglia i Francja. . . . Takie i tym podobne zdania i domysły były codziennym przedmiotem urywanych rozmów w biurze, gdzie pracowałem.

Na spacerach, w parkach, na ulicy i w kawiarni, a już najbardziej w domach prywatnych, przy brydżu, — najpopularniejszym tematem rozmów stała się naprężona sytuacja między Polską a Niemcami. Przeważała jednak opinia, że wojny nie będzie. Argument był prosty i naogół przekonujący. Prostu nie przypuszczano, ażeby Niemcy ruszyły na taką potęgę, jak Anglia, Francja i Polska. A zresztą. . . . „Gdyby doszło do walki, będziemy walczyć nawet bez sojuszników“, powiedział naczelnny wódz. Półgłosem, cicha, sza, bo to tajemnica wojskowa — mówiło się o szalonych, gigantycznych podobno, przygotowaniach technicznych naszej armji, jej nowoczesnym uzbrojeniu i gotowości bojowej. Pożyczka Narodowa, Pożyczka Nowostycyjna, Pożyczka Przeciwlotnicza, w dziesiątki i setki milionów idące ofiary na Ligę Morską i Kolonialną FOM, FON, LOPP, wszystko to w głosach prasy, przemówieniach radiowych oraz zapewnieniach publicznych różnych „zbawców“ narodu miało iść na armję.

Hasło: „Silni, zwarci, gotowi“ — rozlegało się wszędzie. Panował optymizm. Snuto wielkie plany, przemawiano. Będzie wojna to będzie! „My pierwsza brygada!“ . . .

Nie bardzo wierząc w możliwość wojny, bardziej przezorni czynili jednak zapasy w prowiantach i w materiałach na odzież. Hurtownie i mniejsze sklepy zasypane były zamówieniami. Zaczynało braknąć towarów. Bilon, a zwłaszcza srebro, skrętnie schowane i wylapywane przez żydków znikły zupełnie z obiegu. Doszło do tego, że trudno się było ogolić u fryzjera, nie mając drobnych, bo fryzjer — jak wszyscy inni — nie miał reszty. Banki zawiesiły kredyty. W handlu prywatnym kredyt przeszedł do sfery wspomnień. Pociągi były przepelnione; zaczynało być duszno, w powietrzu coś wisało. Taki był koniec sierpnia w Polsce.

Ostatniego dnia tego pamiętnego miesiąca poszedłem — jak zwykle — do biura. Praca nie szła, nie było nastroju. W gabinecie dyrektora odbywała się długa konferencja naczelników wydziałów. Na twarzach zawisło przygnębienie. Przeczowano coś jeszcze nieuchwytnego, nieokreślonego. Ale przeczcucia były złe. Donioślejszy głos na ulicy brano w biurze za wiadomość o nadzwyczajnym dodatku. Było parno, jak przed burzą. Powoli czas dowlókt się do trzeciej. Wziąłem kapelusz.

Wyszedłem z biura na ulicę. Była równo trzecia. Na ulicy panowało głuche ożywienie. Gromadki ludzi grupowały się wokół słupów ogłoszeniowych.

Z zapartym oddechem czytano jakieś plakaty. Żywiej zabiło mi serce. Przygnałem do grupki czytających. Na pierwszym miejscu orędzie prezydenta Rzeczypospolitej a obok, obok jak groźne memento wielkimi czarnymi literami: Mobilizacja. Przebiegłem oczyma treść . . . stawić się mają wszyscy mężczyźni bez względu na wiek i stan zdrowia, posiadający białe karty powołania.

Sięgnąłem do kieszeni. Wydobyłem z portfelu dokument wojskowy. W specjalnej przegródce tkwiła biała karta powołania, a w niej krótko i dobitnie: stawić się pierwszego dnia mobilizacji o godz. . . . Czyli — wojna.

Powlokłem się do domu. W głowie — istny kłębek myśli. Przez moment poweselałem nawet. Wojna! — to dobrze. Pójdę już na drugą wojnę. Na pierwszej, polsko-bolszewickiej, byłem jako piętnastoletni ochotnik zaledwie parę miesięcy. Dziś mam 35 lat i pójdę znowu na wojnę. Z pierwszej wróciłem cało, chociaż strzelali i to nie na żarty. Wojna obecna nie potrwa długo, logicznie rzecz biorąc, nie może trwać długo. Może parę tygodni, najwyżej parę miesięcy. Wielka armia Polski, wspomóżona potężnymi sojusznicznymi siłami Francji i Anglii stawi zwycięski opór wrogowi. „Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę.“ My pierwsza Brygada. Optymizm gasi natychmiast inna, bardziej osobista, realniejsza refleksja. Jaktó? Więc już jutro? Za co? Za Gdańsk? Jutro mam porzucić wszystko co drogie i bliskie: dom, żonę, mego małego Wojtunia, przyjaciół, znajomych pracę . . . Najgorzej z moim małym Wojtuniem. Ciężko chorego synka umieściłem w szpitalu. Lekarze zawyrokowali złowrogo: jako jedyny, to znaczy ostatni ratunek przypisujemy zastrzyki krwi ojca synowi. Przez trzy tygodnie, co drugi dzień, w stale zwiększanych dawkach dawałem krew. Własnemu dziecku. Tak rozmyślając, przyszedłem do domu. Otworzyła mi żona, blada, zatroskana. Skinąłem głową, żona wybuchnęła płaczem. Nazajutrz zameldowałem się do wojska.

Brak jakichkolwiek tablic orientacyjnych, czy też informatorów w budynku przyjęć uniemożliwił mi szybkie odszukanie wskazanej formacji. Nic dziwnego, że straciłem dobre pół godziny, zanim stanąłem przed obliczem pana sierżanta. Nie podniósł nawet głowy. Przejrzał podany dokument, a coś w nim znalazłszy, spytał nagle: Zawód?

— Urzędnik Ubezpieczalni.

— Aha, to niby kasa chorych? Doskonale, potrzebujemy fachowców — po czym, pisząc coś w moich dokumentach, mruczał pod nosem: polowa pracownia bakteriologiczno-chemiczna, Nr. . . . I tak na rozkaz pana sierżanta, w ciągu kilku minut z zawodowego rachmistrza przefasowany zostałem na bakteriologa. Zawirowały mi po wszystkich komórkach zmęczonego mózgu bakterie. Co ja biedny urzędnik od liczydeł będę z tymi bakteriami w wojsku robił? Trzeba było przechodzić dalej, bo sierżant krzyknął: marsz po maskę! Skierowałem się do innego stołu, gdzie inny podoficer, spojrzawszy na mnie z ukosa, rzucił pomagającemu żołnierzowi krótkie: czterdzieści dwa. Do moich rąk przywędrowała wydobyta z maszyny jej nie miałem najnowocześniejsza polska maska przeciwgazowa. O użyciu jej nie miałem najmniejszego pojęcia. Pocięczałem się jednak nadzieją, że przecież z pewnością będę przechodził jakieś bakteriologiczno-chemiczne i przeciwołotniczo-gazowe przeszkolenie. Gdy w dwa dni później, już w drodze na front, próbowałem na własne ryzyko i odpowiedzialność maskę przymierzyć, okazała się o cały centymetr za duża. W ten sposób został mi dobrany przyrząd, mający mnie ochronić od śmierci.

Uzbrojony w maskę, przewieszoną przez ramię paradowałem po sali w oczekiwaniu na ciąg dalszy. Mieli nas umundurować. Mijała godzina za godziną, zewsząd płynęli nowi rezerwiści. Ta sama procedura, przydziały, maski, czekać na umundurowanie.

Poczułem głód. Ruszyłem ku wyjściu, chcąc pójść coś zjeść, gdyż na urzędowe jedzenie zakas nie zapraszano. Zawrócił mnie wartownik. Nie wolno. Jestem już wojskowym. Tłumaczyłem przechodzącemu oficerowi, że przecież jestem żyjącym człowiekiem i jako taki muszę coś jeść. Odpowiedź jest krótka: trzeba się odzwyczaić od jedzenia, jest wojna! Koniec, niema gadania.

Już pierwsze godziny mobilizacji przekonały mnie o zupełnym chaosie i całkowitej dezorganizacji, panującej w wojsku. Czas najbliższy, niestety, miał to potwierdzić w całej rozciągłości.

Zbliżał się wieczór. Głodny i zły dowiedziałem się, że mamy maszerować na kwatery do odległej o 10 km wsi, gdzie jesteśmy zaprowiantowani i gdzie otrzymamy umundurowanie. Po to więc trzymano nas cały dzień. Wyruszyliśmy o zmroku. Ciemno już było zupełnie, kiedy przybyliśmy na miejsce przeznaczenia. Upominamy się o kolację. Niema, to nieważne. Umundurowanie? Hm, zobaczymy. Najpierw strzyżenie włosów, po tym spać.

W małej salce wiejskiej szkółki stłoczyło się kilkudziesięciu nowoprzybyłych. Przy świetle rzetelnie okopconej latarki stajennej, pociemku niemal odbywa się operacja postrzyżyn. Fryzjer-amator, żydek zresztą, pięćsetnemu już pewno tego dnia z rzedu tą samą maszynką kępami wrywa włosy z głowy. Nic też dziwnego, że wraz z włosami sypią się przekleństwa na głowę biednego żydka. Nadchodzi kolej na mnie. Proszę porucznika - komendanta całości, żeby oszczędził mi tej operacji... Tłumaczę, że o zachowaniu zasadniczej higieny mam jak najdokładniejsze pojęcie. Nie pomaga. Rzucam ostatni argument: jestem bakteriologiem. Nie pomaga również. Siadam okrakiem na krześle, wśród stosu ostrzyżonych już kłaków; zaciskam zęby i za dwie minuty już po wszystkim. Rano spojrzałem w lustro — okropność! Spaliśmy w stodółach, w ubraniach. Głodni. O świcie pobudka. Zebrani na placu przed szkołą czekaliśmy dalszych rozkazów, a przede wszystkim śniadania, o którym było jakoś zupełnie cicho. Śniadania nie dostaliśmy, bo... bo nie byliśmy jeszcze zaprowiantowani. Rozkazy zato przyszły. Otóż po umundurowanie mamy maszerować z powrotem do kadry. Podzielono nas według przydziałów. Nasza sekcja, stanowiąca całość, otrzymała siedmiu ludzi. Dowódca, młody podporucznik-lekarz, ósmy.

Maszerujemy więc z powrotem po umundurowanie i wojenne wyposażenie sekcji. Dzień był prześlizchny. Spojrzałem na idącego obok mnie sąsiada. Czerstwy, rumiany „chłopak“ z okazałym bruszkiem. Zapoznajemy się. Mój kolega jest małym przemysłowcem i kupcem z Poznania, gdzie posiada szlifiernię szkła. Bakteriologiem został w identyczny, jak ja, sposób. Jest pełen dobrego humoru. Polubiłem go od razu.

Powoli zbliżamy się do miasta. Wita nas sygnał alarmu lotniczego - ryk syren. Nie wierzymy własnym uszom. Czyżby już drugiego dnia wojny samoloty niemieckie w środku Polski? Patrzymy do góry. Wysoko na tle jasnego nieba ukazuje się dziewięć białych ledwie widocznych punkcików. Zbliżają się bardzo szybko. Zaczynamy się sprzeczać. Przeważa zdanie, że jest to próbny alarm, że to polskie maszyny. W chwilę po tym nasze wątpliwości rozwiewa huk bomb. Ogluszający, piekielny. Niemieckie bombowce celnie zbombardowały fabrykę samolotów.

Owładnęły nami niewesołe myśli. W godzinę po tym wszechwładna plotka doniosła nam, że wszystkie samoloty nieprzyjacielskie zostały strącone. Ani jeden — podobno — nie wrócił. Kłamstwem dodawano nam ducha i tuszowano bezsilność. W kadrze otrzymaliśmy umundurowanie oraz pięć maszynowych skrzyń, mających stanowić wojenne wyposażenie naszej pracowni. Uzbrojenie sekcji stanowiął jeden, dosłownie! jeden karabin ręczny i 20 naboii! Obserwowałem to wszystko z coraz większym niepokojem. Kolega Gucio z trudem zapinał pas na ostatnią dziurkę. Mieliśmy otrzymać jeden wóz taborowy. Z braku takiego otrzymaliśmy — chłopską furmankę, a załadowawszy z trudem otrzymane skrzynie i sprzęt, wyruszyliśmy w drogę powrotną do naszej wsi. Wieczorem tego dnia otrzymaliśmy pierwszy posiłek. Nazajutrz kolega Gucio zapiął pasek na drugą dziurkę.

Po przybyciu na miejsce otrzymaliśmy rozkaz sprawdzenia zawartości skrzyń oraz skontrolowania, czy wszystko jest w porządku. Z plikiem różnych wykazów zjawił się nasz dowódca. Po zerwaniu plomb, otworzyliśmy pierwszą skrzynię. Wewnątrz — starannie poustawiane w różnych przegródkach i na półeczkach stały słoiki, butelki, próbówki i inne nieznanne mi naczynia, zaopatrzone w drukowane nalepki z łacińskimi nazwami różnych chemikaliów. O zgrozo, wszystkie one były puste! Jeden karabin na siedmiu ludzi i puste skrzynie miały więc stanowić nasze wyposażenie wojenne. Z niewyraźną miną rozkazał porucznik zamknąć skrzynie i szykować wóz do drogi. O świcie wyruszamy. Panie poruczniku, melduje nasz woźnica, przecież konie niekute, wyfasowane podkowy nie pasują. Jedziemy niekutymi. Wszystko uzupełnimy w kadrze. Rozkaz!

O świcie wyruszamy. Krótki postój w kadrze. Ruszamy dalej. Kierunkostacja kolejowa. Przypominam dowódcy, że nie uzupełniliśmy braków. Macha ręką: uzupełnimy w drodze. W jaki sposób zamierzał uzupełnić w drodze materiał, którego nie tylko nie znajduje się na szosie, ale który jest przedmiotem produkcji specjalnych wytwórni dla specjalnych celów, pozostało dla mnie nierozwiązalną zagadką. Rozpoczęliśmy ładowanie. O jedenastej przed południem byliśmy gotowi. Na sygnał wyruszenia pociągu czekaliśmy do wieczora. O śniadaniu i obiedzie nie było mowy. Każdy żył własnym przemysłem. Już miano dać sygnał odjazdu, gdy przypomniano sobie, że kuchnia nie otrzymała jeszcze mięsa z prowiantury. Bieganina, telefony. Nie doczekaliśmy się. Sygnał! Pociąg ruszył.

Pociąg śmierci

Do dziś nie rozumiem dlaczego do stacji przeznaczenia: Włocławek, leżącej w odległości ok. 300 km, jechaliśmy w kierunku odwrotnym przez Brześć Litewski, po to ażeby następnie zawrócić drogą okrężną do Warszawy. Długi czas nie mogłem znaleźć odpowiedzi, dlaczego jechaliśmy w dzień przy każdym niemal mieście żegnani lub witani sygnałami alarmu lotniczego, w nocy wystając na stacjach.? Na to pytanie dziś już mam odpowiedź. Oto nocne linie zajęte były przez ważniejsze od wojska pociągi, pociągi uciekających naszych dygnitarzy. Jechaliśmy więc w nieznanne, już zgóry skazani na zagładę przez tych, co w odwrotnym kierunku, ku rumuńskiej zdążyli granicy. Mieliśmy jedyne zadanie: osłonić ich sromotną ucieczkę.

Wczesnym rankiem dnia 5 września znaleźliśmy się w Kutnie. Już wkrótce po wyjeździe z Warszawy wszędzie widać było wyraźne ślady wojny. Pociągi pełne rannych i uciekinierów z terenów, objętych wojną, poniszczony tor

i budynki stacyjne, świadczyły o skuteczności bombardowania samolotów niemieckich. Obok stacji Łowicz — cały teren dosłownie zryty był bombami. Spodziewaliśmy się lada chwila podobnego losu.

Wyruszyliśmy z Kutna żegnani sygnałem alarmu lotniczego. Pociąg powoli nabierał szybkości. Stojąc na platformie jednego z wagonów, dokładnie obserwowałem nalot. Dwie eskadry samolotów bombardujących nadleciały na Kutno. Bombardowały. Pomyślałem mimowoli, że lepiej się stało: uciekliśmy na czas z tego piekła. Nagle z drugiej strony, nieco z boku ukazały się nowe samoloty. Zaczęliśmy liczyć. Jeden, dwa, trzy... dziewięć. To pewno eskadra po bombardowaniu wraca do swej bazy. Lecz co to? Wszystkie samoloty zrobiły nagły zwrot, wyraźnie gonią nasz pociąg, pędzący z szybkością conajmniej 50 km. na godzinę. Jeżeli choć jedna bomba będzie trafna — jesteśmy zgubieni. Trzeba wprawno pióra, ażeby opisać to co się stało. Dojeżdżaliśmy do stacji Krośniewice, gdy samoloty zrównały się z pociągiem. Zachichotały spadające bomby. Zatrzęsła się ziemia. Było po wszystkim. Przygnieciony rozwróą strzaskanego wozu, powoli odzyskiwałem przytomność. Przede wszystkim uprzytomniłem sobie, że żyję. Następnie wygramoliłem się i z trudem stanąłem na nogach. Zdrów i cały.

To, co ujrzałem dokoła było przerażające. Ze szczątków zarytych głęboko w ziemię lub spiętrzonych wysoko w górze wagonów, zewsząd rozlegały się krew w żyłach mrozące jęki konających i rannych, pomieszane z dzikim kwikiem pokaleczonych koni taborowych. Rozbite wozy, paki, skrzynie, wszelaki sprzęt wojenny, tworzyły bezładną mieszaninę. Półprzytomni ludzie biegali bez celu. Grozę położenia potęgowały syczące, gęsto porozrzucane bomby zapalające. Gryzący dym spowodował zupełną panikę. Ktoś krzyknął, że to bomby gazowe. Wielu żołnierzy usiłowało bez skutku włożyć maski.

Uplłynęło wiele czasu zanim przystąpiono do ratunku rannych. Ciężko ranni, przywaleni wielkimi częściami pogruchotanych wagonów, konali bez opatrunku. Nasz major dowódca transportu, uzbrojony w małeńki, dziecinny jakby pistolecik i laseczkę ze srebrną rączką usiłował przywrócić porządek przy pomocy reszty swoich oficerów. Ilu było zabitych, ilu rannych — nikt dokładnie nie wiedział, gdyż wielu żołnierzy w panice uciekło daleko w pole. W każdym razie zostaliśmy zupełnie zdekompletowani. Straty w ludziach, taborze i sprzęcie były ogromne. Siedząc na nasypie w pobliżu toru, rozmyślałem. Ogromny ból ścisnął za gardło, dławiąc szloch żalu. Spojrzałem na leżących w pobliżu zabitych. Wykrzywione nadludzkiem bólem twarze, szeroko w przerażeniu zastygłe źrenice rzucały straszne oskarżenie. Dla kogo i za co zginęliśmy? Przypomniały mi się pierwsze dni mobilizacji. Bezprzypadny chaos, całkowita dezorganizacja, brak jakiegokolwiek planu działania. Oto i teraz, na przykład. Gdyby dowództwo transportu pomyślało o tak łatwej rzeczy, jak ustawienie posterunku obserwacyjnego i połączeniu pociągu sygnałem alarmowym z maszynistą, skutki bombardowania byłyby z pewnością minimalne, a tak wystarczyła jedna bomba, by spowodować katastrofę pędzącego pociągu i to wszystko, co się stało.

Jedenaście następnych dni były jednym ciągiem bezcelowego i bezplanowego bląkania po lasach, miejskich parkach i zagajnikach. Nie uchroniło to nas od nowych dotkliwych strat i niemal zupełnego rozbicia. Przestaliśmy istnieć, zanim rozpoczęliśmy jakąkolwiek wojenną działalność. Szesnasty wrzesień zastał nas w jednym z majątków w powiecie kutnowskim. O godzi-

nie pierwszej w nocy alarm. Mamy natychmiast wyruszyć, o ile się nie myślę, w kierunku na Sochaczew, jedyną, rzekomo, wolną jeszcze drogą. W zupełnych ciemnościach, zebrawszy pozostałych niedobitków i resztki taboru, major z laseczką dał rozkaz wymarszu. Najpilniej było panom oficerom. Jechali pierwszym wozem. Drugi wóz zajęty był przez oficerskie walizy. W parę godzin później wóz ten został w przydrożnym rowie, rozbity celnym pociskiem artylerji niemieckiej.

I oto znowu fakt karygodny, zupełnie nieprawdopodobny, a jednak prawdziwy: polski oficer sztabowy, dowodzący samoistną jednostką wojskową nie miał mapy. Dopóki maszerowaliśmy przebytą już uprzednio drogą wszystko było w porządku, gdy jednak przyszło nam zboczyć we właściwym kierunku, stanęliśmy bezradni.

Obudzona w przydrożnej chałupie jakaś kobieta, oświadczyła, że jest uciekinierką, okolicy nie zna. I znów na ślepo wyruszyliśmy dalej, by w godzinę po tym równo ze świtem wpaść wprost pod ogień wojsk niemieckich. Rozpoczęła się paniczna ucieczka. Oficerowie potracili głowy. Indagowani co robić, rozkładali bezradnie ręce. Radźcie sobie sami, odpowiadali...

Poszliśmy dalej, na wschód.

Po drodze mijaliśmy, lub byliśmy mijani przez różne drobne oddziały, tak samo jak my zdekompletowane. Już na własną rękę w mieszałem się w szereg cofającego się bojowego oddziału piechoty. Wychylił się spoza ostatniej wiejskiej chałupiny, kiedy powitała nas gęsta i coraz wzmagająca się kanonada. Droga za wsią leżała pod ostrzałem niemieckiej artylerji i ciężkich karabinów maszynowych. Posuwaliśmy się dalej rowami. Zaczęli padać ranni. Nareszcie doczołgaliśmy się do mostku na strumyku. Kanonada zaczęła się zamieniać w huragan ognia. Zauważył mnie, na moje nieszczęście, dowódca oddziału. A cóż to za łazik, bez karabinu? - ryknął wściekły w moją stronę. Rzeczywiście moje uzbrojenie stanowiły jedynie bagnet i maska. Tłumacząc mu, że dostaliśmy jeden karabin na siedmiu. Zresztą czym prędzej chwytam pierwszy z brzegu, leżący przy jakimś zabitym. Precz stąd!, ryknął oficer, wygrażając rewolwerem, bo zastrzelę, dosyć nam kłopotu z własnymi żołnierzami! Nie było więc rady, zostałem samotny pod mostkiem, gdzie coraz gęściej padały niemieckie pociski. Wycofałem się z powrotem ku wsi. Pięć razy jeszcze próbowałem „sforsować“ ten piekielny mostek, przy którym leżały sterty trupów, pięć razy napróżno. Usłyszałem naraz wołający mnie znajomy głos. Patrząc zza rogu sto doły wychyla się ostrożnie mój kolega biurowy, magister M. Wpadliśmy sobie w ramiona i postanowiliśmy razem radzić sobie nadal. Postanawiamy przeczekać tu do zmroku, a po tym próbować przedrzeć się naprzód. Obok nas stanęła w międzyczasie bateria lekkich dział naszej artylerji i rozpoczęła beładną strzelaninę na ślepo. Wymiana strzałów nie trwała dłużej jak półtóry godziny. Po tym wszystko uciхло. Co to miało znaczyć? Widocznie dobrze. A jeśli nie strzelają - próbujmy „wyrwać“ dalej. W niespełna pięć minut później wpadliśmy na patrolujących żołnierzy niemieckich, inaczej mówiąc byliśmy w niewoli. Tu wypada mi stwierdzić, że niewoli niemieckiej bałem się niemal jak śmierci. Dosyć przecież nasłuchiałem się przerażających opowiadań o strasznych znęcaniach niemieckich nad jeńcami. Gdy więc wezwany do poddania zrzuciłem rysz tunek, przygotowany byłem na najgorsze. Tymczasem zgola nie katowskim głosem kazono mi maszerować naprzód. Ruszyłem i wkrótce znalazłem się wśród kilkuset innych jeńców. Napewno będzie masowa egzekucja - rozmyślałem dalej.

Idzie jeniec borem lasem . . .

Gromada jeńców rosła szybko i niebawem dosięgła kilku tysięcy ludzi. To niemożliwe, żeby nas wszystkich tak na kupę, masowo rozstrzelali, myślałem. Jeśli rozstrzelają to pewnie, co trzeciego, a może co dziesiątego. Żeby tylko nie być tym trzecim, lub tym dziesiątym. Przyjrzałem się bliżej gromadzie. Znalazłem wielu znajomych. Siedzieli grupami na murawie, lub stali, gwarząc. Jakós na egzekucję nie zanosilo się. Odwrotnie, wielu żołnierzy niemieckich nawiązało z jeńcami rozmowy, częstując niedawnego przeciwnika cukierkami i papierosami. W tej chwili dopiero przypomniałem sobie, że na rozkaz podania się zrzuciłem z siebie wszystko, co miałem, a więc nietylko uzbrojenie, lecz również plecak i chlebak. Szczególnie żał mi było chlebaka, szczelnie wypchanego tytoniem i papierosami. Poza tym z każdą chwilą nabierałem pewności, że żadnej egzekucji nie będzie. Ot, poprostu będziemy jeńcami. A jeśli tak to potrzebuję dużo rzeczy. Po pierwsze — palić! A tu nic prócz sukna na mundurze nie mam. Nie było rady, wszystko przepadło. A może jednak nie, możeby tak spróbować. Korzystając z tego, że zbliżał się do nas jakiś wyższy oficer niemiecki, zebrałem się na odwagę i przywoławszy na pamięć jeszcze wszystkie szkolne wiadomości z niemieckiego, jak umiałem tak wytłumaczyłem, o co mi chodzi. Chciałbym oto odzyskać swój chlebak z tytoniem, bielizną i przyborami do golenia, jak również swój płaszcz, bez którego będzie mi zimno. Leżą niedaleko. Ku niezmiernemu memu zdziwieniu i jeszcze większej uciechy, pomyślawszy chwilę, oficer ów przywołał jednego z żołnierzy i polecił mu udać się ze mną po moje rzeczy. Ominęły go polskie kule, niechaj go za to ominą angielskie i francuskie. Odnalazłem swoje rzeczy, a nawet przyniosłem te, które należały do kolegi magistra. Później przez długie tygodnie miałem co palić i nie szczękałem zębami z zimna. Uspokoilem się zupełnie i już tylko obserwowałem. Zawszad nadciągaly oddziały armji niemieckiej. Wspaniale uzbrojone i wyposażone. Niemal co drugi żołnierz miał ręczny karabin maszynowy i pistolet. Bardzo wielu posiadało lornety i mapy. Mimowoli porównałem niemieckiego żołnierza z polskim oficerem sztabowym. Ten ostatni u spotkanej baby rozpytywał o drogę.

Wojska niemieckie maszerowały na Warszawę. Długie szeregi wspaniale uzbrojonych samochodów pancernych, czołgi, tanki, zmotoryzowana artyleria, działka przeciwpancerne. Wszystko to widziane z bliska robiło na żołnierzach — jeńcach kolosalne wrażenie. Patrzyłem na to wszystko oczyma Polaka, przeżywałem duszą człowieka. Chwytał żal rozpaczliwy do tych, którzy nas na wroga wysłali. Mói Boże! Z czym i przeciw czemu! Aż strach pomyśleć. Tylu ludzi zmarnować, nie dając im broni do ręki, tylu ludzi! Z jaśniepolską fantazją. Ot, poprostu żywiec na jatki. Gdyby marszałek Piłsudski to widział . . .

Tuż z wojskiem ciągnęły dymiące kuchnie. Nawet na krótkich postojach żołnierz niemiecki miał możność posilić się gorącą strawą. I znów porównanie. Nie będąc nawet na linii frontu, żołnierz polski głodował, lub żył własnym przemysłem. Sucharów i konserw tak zwanych porcji ruszyć nie było wolno. Żołnierz niemiecki miał jeden cel i zadanie: walczyć! O wszystkim innym myślał kto inny, myślał sztab, intendenci, właściwi ludzie na właściwych miejscach.

Albo inne jeszcze spostrzeżenie. Nie upłynęły dwie godziny, a już niemieckie oddziały łączności założyły komunikację telefoniczną, Wojska działające

na froncie mogły porozumiewać się między sobą już w akcji. Sztab miał informacje z pierwszej linii, oficerowie linjowi rozkazy ze sztabu. Ja znalazłem się już w niewoli, być może, dlatego jedynie, że rozkaz z kwatery odległej o 7 (dosłownie siedem) kilometrów szedł do nas 12 godzin.

Powoli zbliżał się zmierzch. Uszykowano nas w kolumnę marszową. Długi, jakby nie kończący się wąż jeńców ruszył ku nowemu przeznaczeniu.

Etapy: Zychlin, Piątek, Łódź, Pabjanice, Sieradz, droga do Niemiec, należą do przykrych wspomnień przeszłości. Maszerując o głodzie i chłodzie, śpiąc pod gołym niebem, stłoczeni następnie w wagonach, przybyliśmy w końcu do obozu, by zapoznać się z nowym porządkiem rzeczy i rozpocząć nowe życie, życie jeńca. Cztery tygodnie pobytu w obozie dały mi możliwość poczynienia nowych obserwacji i przekonania się o niezwyklej sprężystości działania władz niemieckich. Umieszczeni początkowo w celtowych namiotach już pierwszego dnia dostaliśmy gorące pożywienie. Zważywszy, że przybyło nas kilkanaście tysięcy-sprawa to nie tak prosta, jakby się mogło wydawać. Na wyżywienie nasze składały się pół bochenka żołnierskiego b. smacznego chleba, rano kawa, w południe zupa, na wieczór dostawaliśmy albo marmeladę, albo margarynę, lub też konserwowane mięso. Nie było to mało dla próżnującego jeńca. Nie było to dużo dla wygłodniałego polskiego żołnierza. Z każdym dniem coś nowego. Dziś słoma, nazajutrz koce, to znów talerze i łyżki. Myślano o wszystkim. Za drutami w drugiej części obozu wrzała gorączkowa, ale systematyczna praca. Uzupełniano nowymi kotłami kuchnie, wznoszono masywne drewniane baraki, mające zastąpić celtowe namioty, rosły sterty nowych łóżek, pośpiesznie budowano łaźnie i komorę dezynfekcyjną, gdyż zaflancowane jeszcze podczas wojny wszy mnożyły się szybko. W biurach komendantury wrzała praca przy spisach jeńców i ich ewidencji.

A przy tym wszystkim: ani śladu najmniejszego chaosu, czy dezorganizacji. Myślała głowa, robiły ręce. Wszystko szło według zgóry ułożonego planu, celowo, systematycznie, rzetelnie.

Odnoszenie się do nas zarówno oficerów jak i żołnierzy niemieckich było najzupełniej życzliwe. Traktowano nas jako bezwolne ofiary wybujałych ambicji naszych rozkazodawców.

W ciągu czterech tygodni żmudnej, naprawdę, pracy załatwiono wszystko. Uporano się szybko z wyżywieniem, ubraniem, ewidencją, ostrzyżeniem, wykąpaniem i odeswieniem kilkunastu tysięcy ludzi.

Znaleźliśmy się w suchych ciepłych barakach.

Po raz pierwszy od wielu tygodni zasnąłem twardym snem na prawdziwym choć prostym żołnierskim łóżku.

W CHAOSIE ODWROTU

Sliczny i pogodny był poranek w dniu 24. sierpnia 1939 r. Około 8-mej rano zrobił się niezwykły ruch we wsi. Dowiedziałem się od przechodzącego gospodarza, że sołtys otrzymał kilkanaście kart powołania i moja jest też między nimi. Istotnie, tak było. Za kilka minut wręczył mi sołtys wezwanie, aby najpóźniej w dwie godz. udać się do miejsca przeznaczenia. W domu płacz. Żona pakuje do walizki niezbędne rzeczy, sam załatwiam niektóre sprawy osobiste, doradzam co czynić na wszelki wypadek i już za

godzinę, nie czekając nawet dwóch, bo to obowiązek wobec ojczyzny do spełnienia, odwożą mnie droga żona i ukochana małaletnia jedynaczka do dworca. Za chwilę nadjeżdża dodatkowy pociąg, następuje czule, bo może już i ostatnie pożegnanie; wsiałam do wagonu, który za chwilę ruszył w dalszą drogę. Na każdej następnej stacji dosiadały grupki zawiezanych. W pociągu gwar, śmiech, śpiew, duch we wszystkich doskonały. Ta częściowa mobilizacja, gdy patrzyło się na ruch pociągów, odbywała się sprawnie. O godz. 14.30 byłem w Gnieźnie, to mój cel podróży.

Udałem się do koszar piechoty, gdzie zwrócono mi uwagę, że do ewidencji należy udać się na Wenecję (jest to letnisko, leżące na drugim końcu miasta). Tutaj zastałem już wielką masę ludzi, którzy zajęli nie tylko letnisko, ale nawet trawniki przy ulicy. W pierwszej chwili sądziłem, że ten zapis będzie trwał krótko, bo przecież każdy miał na karcie powołania zaznaczone do czego został przydzielony. Tymczasem grubo się pomyliłem, bo na salę ewidencyjną wpuszczano po 10 mężczyzn, tam ich zapisywano i przydzielono do różnych kompanij. Nazajutrz rano udałem się na oznaczone miejsce, gdzie zostałem zapisany i przydzielony do oddziału, zwanego „Oddziałem nadwyżek“. Widząc tę powolność, i tę niezaradność z załatwieniem tej masy ludzi, zacząłem się niepokoić, dlaczego to się tak dzieje? Z odpowiednim znakiem, zrobionym na karcie powołania udałem się do koszar. Tu żołnierz wskazał mi blok, do którego mam się udać, a kartę powołania zatrzymał. Przydzielony zostałem do kancelarii. Przez 3 dni chodziliśmy w cywilnych ubraniach. W tych dniach przypatrywałem się wymaszerującemu wojsku w pole. Na uzbrojenie, a zwłaszcza tabory, które składały się przeważnie z chłopskich furmanek patrzyłem z pewną obawą, bo nie mogłem zrozumieć, aby w dzisiejszym czasie nie musiała być więcej zmotoryzowana armia. Wątpienia moje rozwiały się, gdy pomyślałem, że góra wie przecież, co w dzisiejszym czasie być musi, a gazety dość piśaly nam o potęgze armii.

W czwartym dniu umundurowano nas. Tutaj pokazały się różne braki. Część nie otrzymała plecaków, manierek, masek gazowych i t. d. Rozpocząłem pracę w kancelarii. Otrzymaliśmy rozkaz od d-cy komp. sporządzić alfabetyczny spis kompanii. Rzecz to nie trudna, a okazała się bardzo trudna, bo nie było można doliczyć się, jaki jest stan kompanji. Przy zbiorce liczyła ona 283, przy modlitwie 287, to znów tego dnia wydzielono 5 a przydzielono 15, a gdy wreszcie d-ca komp. chciał stwierdzić stan komp. kiedy wszyscy będą spali, to okazało się, że 3—4 wogóle nie ma przydziału do drużyn. Różnica, którą wyżej wskazałem polegała na tym, że niektóre jednostki rano wymykały się i wałęsały się po koszarach, a wieczorem wracały. Kara ich za to nie spotkała. Czyż to nie był brak dyscypliny?

Wreszcie spis stworzono i otrzymałem rozkaz udania się z nim na kancelarię batalionu, gdzie zobrani byli już kancelarzyści innych kompanij oddziału nadwyżek. Tutaj dowiedzieliśmy się, że każdy według swego odbierze karty powołania dla swych komp. (karty te odbierano nam przy wejściu do koszar). Jeden z podoficerów wyczytywał nazwiska, a pisarkowie mając przed sobą spisy swych komp. odbierali karty. Wyczytywanie to trwało prawie całą noc i cały dzień. Skutek był ten, że wszystkich kart nie wydzielono, bo nazwiska te nie figurowały w spisach komp. to znowu komp. również nie otrzymały wszystkich kart, bo ich nie było w kancelarii batalionu. I tu wkradł się jakiś nieporządek. Czyż nie łatwiej było na karcie powołania napisać Nr. komp. i oddać ją szefowi komp.?

Ćwiczenia komp. polegały na ćwiczeniu musztry, śpiewu i t. p. Nadszedł dzień 1. IX. 39. Wojna! Sądziłem, że ćwiczenia się zmieniają; nie, wciąż to samo. Widocznie były one ważniejsze od połowych?

Dnia 3. IX. nadszedł rozkaz wyjazdu. Dowiedzieliśmy się, że prawdopodobnie do Skierniewic. Załadowano cały oddział nadwyżek, składający się z kilku komp. (1500—2000 lud.) do pociągu i o godz. 1,30 popoł. wyruszyliśmy w stronę Wrześni. Byliśmy naturalnie bez broni i niekompletnie umundurowani. Piękny i pogodny był dzionek. Jechaliśmy z śpiewem i uśmiechem i obliczyliśmy, że mniej więcej do południa dnia następnego będziemy w Skierniewicach. Jesteśmy za Wrześnią w stronę Kutna. Tu otrzymaliśmy chrzest. Niespodziewanie nadleciała eskadra samolotów nieprzyjacielskich i obrzuciła nasz pociąg bombami, lecz na szczęście nie ponieśliśmy żadnej straty. Nie trwało długo, zaczęła nadlatywać druga eskadra. Nagle zrobił się wielki popłoch, żołnierze zaczęli wyskakiwać z pociągu i uciekać w pole. Oczywiście dla nieprzyjaciela był cel większy, aniżeli sam pociąg, bo z karabinów maszynowych było można położyć dużo ludzi. Po przelocie zaczęli oficerowie wymyślać na żołnierzy, że nie umieją zachować się w czasie nalotów. A nawet jeden z młodszych oficerów nie szczędził nawet kija, a ponieważ stałem przy drzwiach wagonu i mnie się dostało po nogach. A więc winny czy niewinny. Któż jednak ponosi odpowiedzialność za ten nieporządek, przecież nie ten szary żołnierz, ale dowództwo transportu, bo przed wyjazdem należałoby żołnierzom, starym rezerwistom objaśnić, jak należy zachować się w czasie nalotów. Przypuszczam, że prowadzący sami nie wiedzieli co uczynić.

4. i 5. września naloty były coraz częstsze a daleko nie ujechaliśmy, bo tor był zawalony pociągami, trzeba było czekać. W nocy był spokój, ale skoro zaczęło świtać, to już nieprzyjacielskie samoloty ukazywały się ze wszystkich stron. Dowództwo transportu nie pozwoliło przez 3 dni opuszczać pociągu, mimo, że byliśmy bombardowani. Kiedy jednak 5. 9. dziewięć nieprzyjacielskich bombowców opuściło się zupełnie nisko i rzuciło na nasz pociąg kilkanaście bomb, wtedy przyszło dowództwo do przekonania, że można jechać tylko nocą, a w dzień ukrywać się w lesie. Zaznaczyć wypada, że całą naszą obroną było (to co widziałem) kilkanaście zwykłych karabinów. Widziałem żołnierzy stojących z tymi karabinami na jednym z otwartych wagonów i strzelających do samolotów nieprzyjacielskich. Czy był chociaż z jeden karabin maszynowy, nie widziałem. A o działku przeciwlotniczym mowy nie było. Wydaje mi się, że do obrony takiej ilości wojska broni było za mało.

Do czwartku wieczora t. j. 7. 9. ujechaliśmy na 20—30 km. przed Kutno, a dalej nie było można, bo albo tor był zapchany pociągami, albo zniszczony. Trzeba było pociąg opuścić i dalszą drogę odbyć piechotą. Mnie udało się przylączyć do taborów. Na moim wozie prócz właściciela podwoły siedział ordynans d-cy komp. Na wozie mieliśmy tylko kilka walizek oficerów. Siadając na wóz zastanowiłem się, czy daleko tą podwodą ujedziemy, bo można powiedzieć, że to nie był wóz, ale słaby wózeczek, a przy nim mizerny mały koniczek (hetka). Woźnica wyjaśnił, że we wsi zostali inni z dobrymi końmi, a jemu rozkazano jechać. Jechaliśmy szosą w stronę Kutna. Droga była zawalona uciekinierami z zachodu. Jazda nasza stawała się coraz trudniejszą, bo biedna zskapina zaczęła słabnąć. Kiedy w dodatku któryś z podoficerów nakazał zabrać nam jeszcze z uciekinierki z małodletnią dziewczynką, to nasza hetka ani rusz z miejsca. Oczywiście zostaliśmy w tyle, a nasz tabor oddalił się. Rychło rano dnia 8. 9. byliśmy przed koszarami. Tu spotkaliśmy

jeszcze jedną furmankę, która z taborem nadążyć nie mogła. To nas trochę rozweseliło, bo nie byliśmy sami. Kobiety zsiadły z wozu i szukały narazie odpoczynku w mieście. Z ordynansem udałem się do koszar, aby się dowiedzieć, w którą stronę należy dalej jechać. Tu spotkało nas małe rozczarowanie, bo żadne wojsko tego dnia prowiantu nie pobierało. Zwrócono nam przy tym uwagę, że może odebrano chleb u jednego z dwóch miejscowych piekarzy, którzy zaopatrują wojsko. Piechotą udaliśmy się do piekarzy. U obu chleba nie odebrano. Zdziwiło mnie tylko to, że z żydowskie firmy dostarczają wojsku chleba. Ale jak wiemy, interes robią tylko żydki.

O godz. 7-mej wieczorem dnia 8. 9. dalszy marsz. Tym razem musiałem maszerować. Dowiedziałem się, że pojedziemy pociągiem, a do stacji kolejowej jest 9 km do przebycia. Najpierw szliśmy głównym traktem, a później skręciliśmy na wąską drogę boczną, prowadzącą do stacji. Uszliśmy jakiś 2—3 km drogi bocznej i nagle zawracamy spowrotem. Co się stało? Pan major pomylił się, i zamiast iść drogą boczną, poszedł pierwszą. Ciekawy jestem, co by to było, gdyby któryś tak z młodszych oficerów w czasie spokoju coś podobnego uczynił? A tu wojna! Doszliśmy do dworca. Czekamy, jakiś pociąg na torze. Zaległa ogromna cisza wieczorna. Do uszu naszych dochodzi huk armat. Czyżby tutaj miał gdzieś być front, tutaj prawie w środku Polski? To niepodobieństwo. Jakieś złe przeczucie mnie ogarnęło, bo 2 dni temu udało mi się przypadkowo słyszeć u jednego z gospodarzy na wsi niemieckiej stację radiową. Zdaje mi się, że to był Breslau. Nadawano dziennik. Słyszałem, jak zapowiadano, że na Pomorzu zniesiono 1 czy 2 dywizje piechoty, kawalerię, a z południa armia niemiecka osiągnęła Łódź i posuwa się w stronę Łowicza. Nie chciałem w to wierzyć, ale kiedy słyszałem strzały, to przekonanie zaczęło się we mnie utwierdzać. Nadmienić należy, że propaganda polska do ostatniej chwili coś odwrotnego mówiła. Nagle słyszałem rozkaz „maszerować!“. Co się stało? Nie mogłem zrozumieć i do dzisiaj nie wiem dlaczego? Czyśmy spóźnili się na pociąg przez pomyłkę dowódcy oddziału, czy dla nas pociągu nie było, nie wiem. Marszem forsownym posuwamy się w stronę Łowicza. Na godzinę odpoczywamy tylko 5 minut. Już po kilku godzinnym marszu nogi zaczęły odmawiać posłuszeństwa, ale człowiek wydobywał wszystkie siły, aby nie zostać w tyle. Zbliżając się do Łowicza, coraz wyraźniej słyszymy strzelaninę. Tu musi być front. Około godz. 6,30 rano dnia 9. 9. mijamy Łowicz. W tym czasie strzelanina ustała, bo wojska nieprzyjacielskie chciały nas przepuścić, a później wziąć do niewoli. Za Łowiczem rozpoczął się jeszcze forsowniejszy marsz, ale już bez najmniejszego porządku. Była to poprostu ucieczka. Wkrótce dostałem się do niewoli. Uzbrojenie wojska niemieckiego oszołomiło mnie. Nie mogłem zrozumieć, jak państwo, które prawie nie miało z czego strzelać, mogło przyjąć walkę od tak potężnego i dobrze zorganizowanego sąsiada.

BEZ CELU I BEZ KIERUNKU

26 czerwca 1939 roku powołano mnie na sześciotygodniowe ćwiczenia wojskowe. Przydzielony zostałem do I. Mazurskiego Baonu Obrony Narodowej w Działdowie. Ćwiczenia trwały dzień i noc i były bardzo wyczerpujące. Rezerwiści rekrutowali się z roczników od 32 do 42 roku życia. Ludzie byli niezadowoleni z bardzo ciężkich warunków pracy ćwiczebnej. Zauważyłem to nieraz i sam zresztą byłem mocno wyczerpany. Po sześciu dniach zostałem zwolniony do domu. Już jednak w dniu 9 lipca otrzymałem telegraficzne powołanie do pułku. Razem z działdowską trzecią kompanją Obrony Narodowej pracowałem nad budową umocnień i rowów strzeleckich. 14 lipca zostałem ponownie zwolniony, a 22 sierpnia ponownie wezwany do służby. W Działdowie wziąłem udział w dwudniowych ćwiczeniach oficerskich. 30 sierpnia o godz. 18 zjawił się kawalerzysta z meldunkiem: rozkaz, odmaszerować natychmiast z zajmowanego stanowiska do koszar! Ostre pogotowie wojenne! Rozpoczęło się wydawanie i przydział wszystkich rodzajów amunicji. A więc jednak miało zapachnieć prochem... Dowodząc powierzoną mi kompanją, obsadziłem przygotowane przez nas stanowiska obronne i wystawiłem warty oraz czujki alarmowe. Wciąż jednak jeszcze wątpiłem w to, czy wojna wybuchnie. Mówiono o niej powszechnie, spodziewając się jej coprawda dopiero po żniwach. Historycznego 1. września nad ranem obudził mnie mój zastępca: słychać silny ogień artyleryjski. A więc wojna! Stało się jednak straszną prawdą to, co uważaliśmy za obustronne pogrożki. Ogień artyleryjski dochodził od Mławy. Wzmocniłem wartę; na prawym skrzydle zaterkotały karabiny maszynowe. Wróg rozpoczął natarcie na prawą stronę wsi Malinowa. Zjawił się u nas kapitan Klim, meldując przejście naszej granicy przez Niemców. Od tej chwili nasza kompania należy do 5 pułku. Dowódcą pułku jest major P. Po południu nasza kompania starła się z nieprzyjacielem. Na moim odcinku jest jednak wciąż spokojnie, odległość między nami i wrogiem wynosi coś około 800 metrów. Patrol kawaleryjski z 16 jeźdźców został przez Niemców rozbity, wróciło ledwie 4 kawalerzystów, w tym tylko jeden nie ranny. Wszyscy inni padli w walce. Pozostali czterej wrócili bez koni. Podchorąży, który miał na czele 32 rowerzystów wejść w styczność z wrogiem, już po kilku minutach dostał się pod ogień karabinów maszynowych. Cały patrol rzucił się do ucieczki, pozostawiając 16 kolegów trupem na polu. Pod wieczór wróg skierował swój ogień także na moje stanowiska. Cisza w okopach była więc skończona.

O godz. 22 rozpoczął się atak niemiecki na nasz batalion i na cały pułk. Moja kompania pozostawała nadal w ciszy, żołnierze nie oddali dotychczas

ani jednego strzału. W myśl otrzymanego rozkazu o godz. 1-ej w nocy opuściłem zajmowane stanowiska i wysadziłem most w powietrze. Miałem rozkaz cofać się, ale dokąd? Na opuszczonych stanowiskach mogliśmy utrzymywać się znacznie dłużej, zabrakło jednak własnej artylerji. Brnęliśmy więc po nocy, przez pola, bagna i trzęsawiska, Odwrót był naprawdę bardzo ciężki. Odczuwaliśmy również głód. We wsiach nic dostać nie było można, wsie były opustoszałe, wymarłe, głuche. Mieszkańcy ich uciekli. Przybyliśmy wreszcie do Keczowa. Było tu dużo wojska. Nie pozostawiono nas długo w spokoju, trzeba było znowu zajmować stanowiska.

3 września rano nowy rozkaz: maszerować. Dokąd? — znowu niewiadomo. Poszliśmy w kierunku Żurawca. Ukazały się samoloty niemieckie, nie mogły nam jednak szkodzić, ponieważ korzystaliśmy z przykrycia lasów. Pod Mławą oczekiwaliśmy na rozkazy i słysząc warkot całej eskadry, byliśmy pewni, że to nasi lotnicy ciągną na wroga. Była to jednak eskadra niemiecka, która w przynę obróciła całą Mławę. Widziałem nalot, leżąc ukryty za jakimś budynkiem. Co za straszliwy widok! 50 samolotów krążyło nad miastem. Każdy z ładunkiem bomb. Zamieniły one całą Mławę w stos zwalisk i gruzów. Kto ocalał żywy, uciekał co tchu przed siebie. Uciekać było zresztą trudno, całe wsie wokół płonęły. Pod Szydłową zostałem z całą kompanią ostrzelany z samolotów przez karabiny maszynowe.

Za Szydłową rozgorzała zażarta walka. Co chwila przywożono i przynoszono zabitych i rannych. Artylerja niemiecka skierowała ogień na Szydłową, w której panowało zupełne zamieszanie. Udało mi się jednak utrzymać moich ludzi razem. Nareszcie padł rozkaz do ataku. Mieliśmy zewrzeć się oto z wrogiem z bliska. Niestety, do tego nie doszło, wróg nas wyprzedził, uderzył pierwszy. Nasi wyżsi dowódcy tłumaczyli sobie, że ogień karabinów maszynowych słyszany przez nas jest ogniem własnym, okazało się, że Niemcy zajęli część naszych stanowisk. Nad głowami zaczęły rwać się szrapnele, w pobliżu wybuchaly granaty. Na rozkaz wycofaliśmy się dalej, zresztą cała dywizja były już w odwrocie. I znowu zapanował u nas straszliwy bałagan. Nasze ręczne karabiny maszynowe były przeważnie starej konstrukcji, pochodziły jeszcze z wojny światowej i nie wiele nadawały się do użytku. Dlaczego nas tak źle uzbrojono? Stale znajdowaliśmy się w odwrocie, pod ogniem i pod bombami. Ludzie uciekali z przerażenia, stawali się niekarni i wypowiadali oficerom postuszeństwo. Dobrnąłem ze swoją małą grupą do Mławy-Raciąża. Tu panowało istne piekło. Najrozmaitsze gatunki broni, mieszanina oddziałów, pstrokacizna i bałagan. Były to dwie dywizje 8 i 20. Obydwie w ucieczce. Skoro przysła wiadomość, że Niemcy są oddaleni zaledwie o 3 km. ucieczka rozpoczęła się w panicznym strachu i pośpiechu dalej. Ja czekałem z trzema ludźmi dalej na rozkazy. Po tym dołączyliśmy się do naszej grupy. Byliśmy stale i wciąż ostrzeliwani przez lotników. Naszych polskich lotników nie widziałem w okolicy, gdzie wypadło mi wojować, ani razu.

Cofaliśmy się ku Warszawie. Przez puste wsie, zniszczone pola, spalone lub wysadzone mosty. W Działdowie zebraliśmy się w większej ilości i zorganizowali na nowo. Przy wymarszu z pułku obecnie stan dwóch kompanji wynosił 520 ludzi, w tym 204 zdolnych do akcji bojowej. Straty nasze były bardzo liczne, bo zostało nam zaledwie 176 ludzi! Po przeorganizowaniu zostaliśmy wscieleni do batalionu kombinowanego. Lecz i tu nie mieliśmy spokoju, bo pociski artylerji niemieckiej zaczęły padać na ulice i domy. Wogóle Niemcy strzelali tak gęsto, że, jak wiadomo, w oblężonej Warszawie

nie było ani jednej bezpiecznej kryjówki. Brałem udział w tej obronie. Były to ciężkie dni. Codziennie leciały na nas bomby i ulotki. 18 i 19 września po silnym ogniu artyleryjskim przeszli Niemcy do ataku. Odparliśmy go jednak. W dniach 20, 21 i 22 tylko ogień artyleryjski. Tego dnia obsadził nieprzyjaciel linie kolejowe i wielu żołnierzy z mojej kompanji dostało się do niewoli.

23 dowiedziałem się, że i Rosjanie przeszli naszą granicę, a nasze wojska cofają się, nie próbując walczyć na dwa fronty. Wszyscy wiedzieliśmy już, że krwawimy się nadaremnie. Krążyło w tych smutnych dniach wiele niemądrych plotek o samolotach francuskich i angielskich. Słyszałem od jednego mężczyzny, że kartofle, które miał w kieszeni sprzedał w Warszawie za 50 zł. Taki głód panował w tym mieście. 28 Warszawa skapitułowała. Nie jestem sędzią z zawodu. Wykonałem swój obowiązek wobec ojczyzny z honorem i poświęceniem. Ale jednak — sędzę — musi być ktoś, kto ponosi winę za to, co się stało. Powinna to być wielka historyczna nauka dla Polski. Przegraliśmy wojnę z powodu braku uzbrojenia i organizacji. Nie zdaliśmy egzaminu przed światem i przed historją. Koniec wielkich marzeń jest gorzki.

Jest dziś rzeczą stwierdzoną, że osławiona sanacja sprzedała Polskę. Ludzie, mający dobro publiczne na uwadze nie byli dopuszczani do steru rządów. Dlatego przestaliśmy być państwem. W interwencję obcych nie wierzę. Dziś mogą oni swoją interwencją nam tylko zaszkodzić.

PRZYSIĘGALI NA WIERNOŚĆ I ZDRADZALI

W rozgwarze lata powołano mnie do wojska. Ha, więc trudno, jestem znów w koszarach.

Mieliśmy pomagać przy pracach fortyfikacyjnych w Ossowcu. Dojechaliśmy samochodami do ossowieckiej góry, gdzie otrzymaliśmy zajęcie przy wyładowywaniu materiału fortyfikacyjnego: drutu kolczastego, szyn kolejowych, betonu i belek. Wszystko to dostarczone zostało do Ossowca samochodami. Roboty przy budowie stanowisk ochronnych wrzały. Szczególnie silnie rozbudowywano sieć zapór przeciwtankowych, które przedstawiały naprawdę imponujący widok i były nie do zdobycia. Pierwszą linię zapór tworzyły kozły, dalej szły druty kolczaste w trzech rzędach. Dopiero po tym ciągnęła się linia potężnych podstaw i stanowisk betonowanych, które nie były jeszcze ukończone. Jak się już dowiedziałem podczas pobytu w niewoli, zapór tych nie ukończono aż do wybuchu działań wojennych. Jest to wymowny przykład karygodnej niedbałości. Zresztą oddano te wszystkie kosztowne umocnienia Niemcom prawie bez strzału.

Nie długo przebywałem na ossowieckiej górze; już raniuteńko we czwartek 24 sierpnia zarządzono pogotowie alarmowe dla wszystkich oficerów pułku. Po apelu oficerskim, pułkownik Rawicz zawiadomił nas o rozpoczęciu tajnej mobilizacji. Mobilizacja zaczyna się o 8-ej. Przydzielono mnie do 2. pułku piechoty w charakterze dowódcy kompanji gospodarczej. Teraz rzeczywiście rozpoczęła się praca. Przez dzień i noc byłem na nogach,

bez chwili wypoczynku. Miałem pełne ręce roboty z przyjmowaniem materiałów z magazynów mobilizacyjnych. Tu po raz pierwszy ogarnęła mnie obawa, czy aby pod względem organizacyjnym podołamy olbrzymim zadaniom. Nie, stanowczo do wszczynania tak wielkiej sprawy nie mieliśmy należytego przygotowania. Plany mobilizacyjne były naogół dobre. Cóż jednak z tego, kiedy brakło najważniejszego — odpowiednich ludzi. Według planu mob miałem otrzymać dla mojej kompanii I zawodowego sierżanta, podoficera gospodarczego, podoficera liniowego, oraz 15 ludzi. Niestety, z tego wszystkiego dla zorganizowania kompanii gospodarczej zostałem tylko ja, jako jej dowódca, ludzi nie było. Dotychczas byłem zawsze w kompanii strzeleckiej, no i nie należy zapominać o tym, że byłem jednak oficerem rezerwy, nie mającym pojęcia o translokacji magazynów mobu. Muszę się sam pochwalić, że jedynie dzięki własnej orientacji i poświęceniu nie zalałem rak i co więcej „odwalałem“ jeszcze robotę za zawodowego kapitana-kwaternistrza, który zupełnie stracił głowę i nie wiedział wogóle, co ma czynić.

Zameldowałem się w swoim pułku macierzystym. Major M. zauważył u mnie wspaniałą rewolwer marki „Vis“, który nieostrożnie zabrałem ze sobą. Natychmiast kazał mi go oddać sierżantowi Strachowi za pokwitowaniem. W ten sposób przez cały czas trwania tej tragicznej wojny pozostałem bez broni palnej. Widocznie, panowie wyżsi oficerowie byli przekonani, że ich koledzy z rezerwy będą mogli i bez broni dokonywać cudów, strzelając prosto z... lasek. Odesłano mnie do kancelarii oddziału zajmującego się zbieraniem nadliczbowych. Kanceleria „przekazała“ mnie dalej, do trzeciej kompanji. Tu zastałem największy bałagan i zamieszanie. Komendanta kompanji wogóle nie było. Komendę nad trzema z górą setkami ludzi objął podchorąży. Nie wiedziałem co mam począć i zrezygnowany usiadłem na jednej z sal. Ruch w sieni spowodował to, że wszyscy żołnierze wybiegli ku wejściu. Okazało się, że przyniesiono kocioł z kolacją. Na ten widok w żołnierzy wstąpił nowy duch, świadczyło to przecież o tym, że jednak o nas pamiętano. Radość trwała jednak niedługo. Nikt z całej kompanji nie miał naczyń do jedzenia. Komendanci myśleli o potrawie, zapomnieli o łyżkach i menażkach. Kolacja skończyła się odesłaniem prawie pełnego kotła do kuchni. Oczywiście — ludzie nie byli jeszcze głodni, bo każdy miał ze sobą przyniesione z domu prowianty. Spotkałem przy kolacji podpor. M., mojego znajomego i kolegę, który został dowódcą kompanji. Dowódca udzielił mi pozwolenia na pójście do domu. Radość moja była jednak krótka. Zaraz po północy nadbiegł ordynans. Mamy umundurować kompanię. Była to istna komedia. Aż do ogłoszenia ogólnej mobilizacji ubieraliśmy swoich ludzi po kawalku, na raty.

Niestety, nie znaleźmy rzeczywistości

Nie mogliśmy umundurować naszej kompanji, bo po otwarciu magazynu okazało się, że kompania nie rozporządza należyłą ilością mundurów o wymaganej wielkości. Moi żołnierze byli więc zmuszeni pracować przy budowie mostu w Zachcicach po cywilnemu. Widok tego wszystkiego wywoływał przykry uśmiech żalu. Żołnierskie bluzy i czarne spodnie, krawaty i żółte buty, u niektórych na głowach kapelusze. Takich typów widziało się podczas tej wojny bardzo dużo. Aż serce krwawiło się na widok ironicznych uśmiechów ludności niemieckiej, przyglądającej się tej maskardzie. Traciło

się prosto ochotę dowodzenia takim wojskiem. Nareszcie udało się z tej „zbieraniny“ utworzyć batalion marszowy. Część batalionu razem z oficerami odesłano do Sandomierza. Resztę przydzielono do kompanii gospodarczej, która w tych dniach liczyła zgorą 600 osób. Wojna wybuchła 1 września. Nareszcie staliśmy w obliczu faktu dokonanego i wiedzieliśmy o co chodzi i jak jest. Niestety, nie wiedzieliśmy, jak wygląda rzeczywistość. Napewno nikt z żołnierzy frontowych nie przypuszczał, że sprawa przybierze taki fatalny obrót i że losy wojny zostaną tak szybko rozstrzygnięte.

Od momentu wybuchu działań wojennych wydarzenia potoczyły się w iście błyskawicznym tempie. Już w dniu pierwszego września rozpoczęły eskadry niemieckie loty wywiadowcze nad Bydgoszczą. Przy tej sposobności zbombardowały one lotnisko i stojące na nim nasze samoloty. Prawdopodobnie, artyleria przeciwlotnicza miała zestrzelić trzy niemieckie maszyny. Z pułku otrzymałem moje pobory za wrzesień. Posiadałem więc kupę pieniędzy które mogłem oddać żonie na podróż.

W piątek wieczorem dowiedziałem się, że przednie patrole niemieckie znajdują się pod Nakłem. Sześciu ludzi z kompanii kolegi Hadrycha poległo. Prawdopodobnie, Niemcy parli szybko naprzód. Ja jednak miałem wciąż nadzieję na nasze umocnienia na północ od Bydgoszczy. Sobota drugiego września była dniem, który na długo zostanie w mej pamięci. Był to dzień, w którym otrzymałem chrzest bojowy. Nie dokonaliśmy żadnego ataku, natomiast byliśmy sami atakowani i to z najgorszego kierunku, bo z powietrza.

Wstał pogodny śliczny ranek 2-ego września. Nic nie zwiastowało burzy, która miała przejść nad naszymi głowami i nad moją ukochaną Bydgoszczą. Rano nie zauważono na horyzoncie ani jednego samolotu. Zacząłem już nawet przypuszczać, że naloty ominą nasze miasto. O godzinie jedenastej pokazały się jednak na niebie trzy maszyny. Zawróciły natychmiast po pierwszych strzałach artylerii przeciwlotniczej. Sądziłyśmy nawet, że były to nasze własne, polskie samoloty. Niestety jednak, po pewnym czasie zaryczały syreny. Alarm lotniczy! W myśl rozkazu musieliśmy się udać do piwnic i schronów. Po wejściu do podziemia zauważyłem, że piwnica jest przepelniona. Jednak nikt z żołnierzy nie brał na serio tego alarmu. Niektórzy odważniejsi powybiegali nawet po chwili na podwórze, chcąc na własne oczy sprawdzić, czy nieprzyjaciel naprawdę znajduje się nad miastem. Nie posłuchali rady, że jednak w piwnicy jest pewniej. Dla niektórych też ciekawość skończyła się wręcz tragicznie. Bo już za chwilę rozległy się diabelskie, przeraźliwe gwizdy, a po tym detonacja ogłuszyła nas wszystkich. Siłą wstrząsu rzuciło mnie ze stołu, na którym nieostrożnie usiadłem. Usłyszeliśmy straszny trzask, a na nasze głowy posypał się tynk z sufitu. Niemiecka bomba trafiła nasz blok koszarowy. Eksplozje wybuchających wokół pocisków rzucały nami we wszystkie strony. Znajdujące się z nami w schronie kobiety krzyczały histerycznie w niebogłosey, zwiększając groźę położenia. Obawiając się gazów, włożyliśmy maski.

Słychać było jęki konających i rannych. Okazało się, że odłamki wybuchłej bomby przedostały się aż do otwartego piwnicznego wejścia, ciężko raniąc dwóch żołnierzy, którzy siedzieli obok mnie, przy stole. Wkrotce po tym ujrzałem pierwszego zabitego w tej wojnie. Leżał pięć metrów od piwnicy. Odłamek granatu urwał mu pół głowy, tak że trudno było rozpoznać go z twarzy. Był to żołnierz z kompanii gospodarczej, który nie posłuchał mojego zakazu wydalania się z piwnicy. Widok tego pierwszego trupa uczy-

nił na mnie przygniatające wrażenie. Niestety, przyzwyczaiłem się tak szybko do tego widoku, że już w końcu wojny nie zwracałem uwagi na zabitych. Po ataku kazano nam opuścić schroniska. Dopiero teraz mogliśmy się przyjrzeć skutkom bombardowania. Nasze koszary przedstawiały pozostałości godny widok. Pęknięcia i szczeliny w ziemi, całe luki, w budynkach. Ranni i zabici na podwórzach, płonące domy w sąsiedztwie koszar, zniszczone do połowy dworzec kolejowy. Wszystko to przedstawiało straszny, przygnębiający obraz. Z całego serca dziękowałem Panu Bogu za cudowne prawie ocalenie. Otrzymaliśmy rozkaz — Niestety spóźniony — opuszczenia koszar. Z błyskawicznym pośpiechem załadowali żołnierze amunicję, ażeby tylko jak najprędzej wyruszyć z tego strasznego miejsca. Zatrzymaliśmy się w lesie pod Bielawkami za budynkiem szkoły podchorążych. Tuż przy samym już lesie otrzymaliśmy raz jeszcze ogień bombardujący. Bomby lotnicze padały gesto, na szczęście ani jedna z nich nie była trafna. Lotnicy źle celowali. Batalion marszowy razem z kompanią gospodarczą zbierał się w lesie na drodze de Czarnioka. Ludzie otrzęśli się już z pierwszego wrażenia po nalotach. Rozdano nawet kolację, papierosy i broń. Naszym komendantem był wówczas podpułkownik Boehm. Zdawało mi się, kiedy obserwowałem zachowanie się i przedsięwzięcia naszych dowódców, że nikt dokładnie właściwie nie wie, co należy czynić. Leżąc w lesie, słyszeliśmy jak samoloty niemieckie obkładały Fordon i Kapuściska bombami. Strach ogarnął nas większy tym razem, niż wtedy, kiedy znajdowaliśmy się pod gradem pocisków. Nareszcie dano rozkaz wymarszu w kierunku miasta, przy czym po drodze przyłączyła się do nas na szosie gdańskiej jeszcze jedna kompania, która objęła warty. Jedna z kompanij zawędrowała aż po Osielsk i dopiero na drugi dzień przyłączyła się do batalionu... Leżąc przy szosie, obserwowałem resztki uciekających taborów i oddziałów 9. Dywizji Piechoty. Pocięszalem się tym, że przecież jedna rozbita dywizja nie oznacza jeszcze przegranej wojny. Jednakowoż ucieczka naszych rozbitków dała mi prawo domysłu, że wróg posuwa się szybko naprzód.

Nie długo tak zajmowaliśmy się stanowiska na szosie. Otrzymaliśmy bowiem rozkaz powrotu do koszar. Żołnierze niechętnie usłuchali rozkazu, ale nie mogli go nie wykonać. Po drodze przeżyliśmy jeszcze jeden nalot nocny. Nasza kompania szukała schronienia w rowach przeciwlotniczych, wykopanych przez ludność cywilną i dlatego straciła łączność z resztą batalionu. Było to zjawisko powtarzające się później co kilka godzin. Po nalocie wszystkie kompanie odnalazły się na ulicy Mazowieckiej. Zaczęliśmy pośpiesznie budować prowizoryczne schrony, ponieważ nikt nie wierzył, że maszyny niemieckie oszczędzą nas w niedzielę. I rzeczywiście nazajutrz już od samego ranku odwiedzały nas „maszynki“... O godz. 11. — jak zazwyczaj — rozległy się syreny alarmowe. Udaliśmy się w praktykowany dotychczas sposób do piwnicy. Ja osobiście znalazłem się tym razem w schronie w okolicy fabryki Millera. Było tu znacznie bezpieczniej, niż w koszarach. Zanim jeszcze alarm odwołano, batalion został postawiony na nogi. Nie mogliśmy zrozumieć po co. Powstało zamieszanie. Jeden z czynnych oficerów twierdził nawet, że niemieckie wozy pancerne są już na ulicy gdańskiej. Opuściliśmy schron; rozkaz, trudno, niema rady. Zauważyłem, że batalion posuwa się w kierunku ulicy Dworcowej marszem pośpiesznym. Przede wszystkim chciałem dołączyć do kompanii, co jednak było trudne ze względu na pomieszanie się oddziałów. Nareszcie zauważyłem dowódcę batalionu z moimi żołnierzami.

Dziś już muszę przyznać, że ta walka w Bydgoszczy, dla mnie, syna tego miasta była straszna. Walka uliczna... O swoim udziale w niej nic napisać nie mogę, bo przecież nie miałem w ręku żadnej broni, nie mówiąc już nawet o pistolecie. Nasze mądre plany mobilizacyjne były tego zdania, że oficerowie batalionu marszowego, nie potrzebują broni. Miał wystarczać widocznie nasz wzrok oficerski do tego, żeby wróg struchlał, ratował się ucieczką. Zresztą cieszyłem się, że nie brałem udziału w tej okropnej walce, gdzie w tym całym zamieszaniu mogło zginąć wielu ludzi niewinnych. Musiałem jednak nadal prowadzić jakoś swój oddział. Kiedy smagani gęstym ogniem przebrnęliśmy nareszcie miasto, mogliśmy się zorientować w sytuacji. Strzały padały gęsto. Wyszukiwaliśmy punkty, zięjące na nas ogniem, ażeby je stopniowo likwidować. W rzeczywistości nikt nie wiedział, kto napada, a kto się broni.

Wieczorem o godzinie 2. otrzymaliśmy rozkaz odmaszerować w kierunku Inowrocławia. Dzięki Bogu! Uniknęliśmy w ten sposób dalszego udziału w tej nieszczęśliwej i okropnej walce ulicznej. Aż do Brześcia Kujawskiego niepokojono nasze oddziały ogniem z ukrytych stanowisk. Niech Bóg rozstrzyga po czyjej stronie było prawo i słusność. Na drodze pod lasem znaleźliśmy niewybuchłe bomby lotnicze.

Maszeruję więc znowu wzdłuż po znanej mi drodze. Marsz był jednak niezwykle utrudniony, bo drogę w najniemożliwszy sposób zakorkowano uciekinierami cywilnymi i wojskowymi obozami. O, te oddziały obozowe! Były one w czasie całej wojny kłosem u nóg walczących wojsk. Wielkiej korzyści nie przyniosły, ponieważ i tak maszerowaliśmy z pustymi żołądkami. Nasz batalion, na szczęście, nie miał żadnych pojazdów, i był skazany zgóry na śmierć głodową, ponieważ twórcy batalionów marszowych byli widocznie zdania, że z pustym i nieobciążonym żołądkiem maszeruje się wygodniej i sprawniej. Widzieliśmy nawet wozy straży pożarnej w ucieczce. Złe musiało być z całą organizacją, kiedy straż pożarna, której zadaniem było chronić Bydgoszcz przed pożarami, pierwsza zostawiła ją na pastwę płomieni. Za pożarnymi wozami zauważyliśmy uciekających policjantów. Chciałbym wiedzieć, kto będzie bronił ludność przed złodziejstwem i opryskami?! Takie władze bezpieczeństwa należałoby bez łaski rozstrzeliwać. Na cóż jednak miała czekać policja, skoro starostwie i burmistrze pouciekali już znacznie wcześniej. Jakżeś mogło się utrzymać nasze państwo, skoro jego władze były pierwszym złym przykładem panikerskiego postępowania? Niejednokrotnie żałuję dziś, że oszukiwałem żołnierzy, opowiadając im o słusności naszej sprawy. Cóż jednak mieliśmy czynić my, młodzi oficerowie, kiedy przecież i nas oszukiwano? Przecież przysięgaliśmy na wierność ojczyźnie i myśleliśmy, że inni także dotrzymają przysięgi.

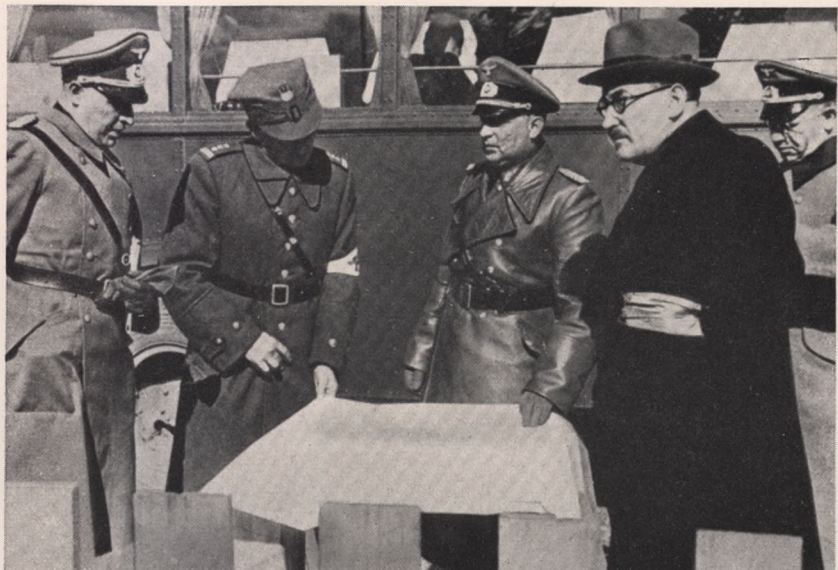
W międzyczasie miałem możność obserwowania, jak to wszystko wyglądało i dziś już mogę zawyrokować, że nasze wyższe i najwyższe władze nie poszły za głosem obowiązku i złamały przysięgę wobec własnej oszukanej ojczyzny. A to jest hańba! Nic też dziwnego, że gmach naszej państwowości runął w ciągu trzech tygodni. W tych warunkach, tak mi się przynajmniej wydaje, niema powodu do płakania za tą wolnością. Zdaje mi się, że lepiej jest być poddanym sprawiedliwie i rozumnie rządzonego państwa niemieckiego, niż opartego na bezprawiu polskiego aparatu państwowego. My Polacy, mieliśmy męzków stanu, których najwyższym hasłem było: możliwie jak najwięcej korzyści własnej! O dobrze publicznym żaden nie myślał. Jestem tej myśli, że tu zaszła haniebna zdrada. Wysokie zwierzęta na czas schroniły się razem



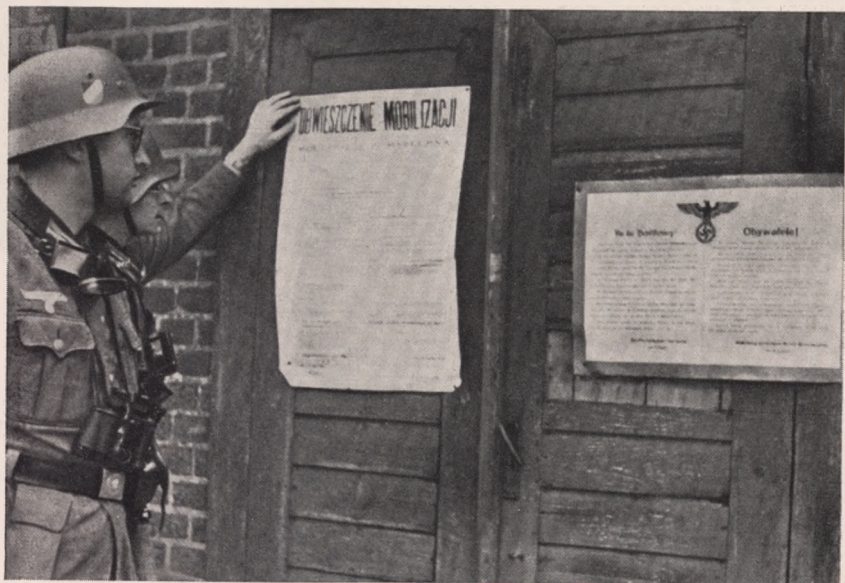
Po kapitulacji Warszawy



Parlamentarze polscy



Omawianie szczegółów kapitulacji



Dwa obwieszczenia



Warunki kapitulacji wymagały złożenia broni

ze złotem na obczyznę, a biedny żołnierz i obrońca dostał się do niewoli. Po jakiego licha wpędzono Polskę do wojny? Po co, kiedy nie przedsięwzięto żadnych zabiegów ochronnych? Czy tysiące istot ludzkich nic dziś nie znaczą? Byłoby się stało o wiele lepiej, gdyby Polska była oddała żadaną przez Niemcy część Pomorza. Bylibyśmy bodaj zatrzymali fikcję naszej niezależności. „Nie oddamy ani jednego guzika od płaszcza!“ ... głoszono nam, ratując się w międzyczasie ucieczką zagranicę. I to wtedy, kiedy armie biły się jeszcze z 50 procentami ducha. Ale ja znowuż odbiegłem od tematu. Zachęcają mnie jednak od tego rozmowy moich kolegów, którzy wciąż wracają do tego zagadnienia i roztrząsają je w długich dyskusjach. Co do jednego wszyscy są zasadniczo zgodni, a mianowicie, że nie było u nas organizacji, nie było przygotowania na wypadek wojny, że przyczyną klęski była absolutna niezaradność i bezradność wyższych dowódców, od dowódcy batalionu wzwyż. Okazało się, że Polska będąc przez 150 lat w niewoli, nic się nie nauczyła być rozważniejszą i rozumniejszą. Każdy, kto dorwał się do żłobu myślał tylko o sobie, nie troszcząc się o społeczeństwo.

W OBRONIE WARSZAWY

Nareszcie to, na co z dnia na dzień oczekiwaliśmy, nadeszło. Mobilizacja! Wielkie białe plakaty, obwieszczają ten przełomowy moment w życiu wielu z nas. Tłumy ludzi gromadzą się przed nimi — dyskusje, dopytywania i przewidywania. Wszędzie nastrój dziwnego podenerwowania. Jednak nie wszystkich zdolnych do obrony ojczyzny powołują te plakaty. Idą tylko ci, którzy mają białe karty mobilizacyjne. Pierwszym dniem mobilizacji jest czwartek 31 sierpnia. Ponieważ mam inną kartę mob. (białą z czerw. pasem) jeszcze mobilizacji nie podlegam. 1 września prasa donosi o rozpoczęciu działań wojennych i naruszeniu naszej granicy przez Niemcy. Wojna! Na wszystkich twarzach znać ogromne podniecenie. Dochodzą nieprawdopodobne zdawałoby się wieści o bombardowaniu Radomia i Warki. Na ulicach ruch znaczny, zjawiają się samochody wiozące uciekinierów z Poznańskiego. Opowiadają o bombardowaniu Poznania i innych miast. Czuję się głupio, moi bracia już walczą i krew przelewają, a ja — muszę czekać. Zresztą nawał pracy w Syndykacie nie pozwala mi na dłuższe rozmyślenia. Ogromny popyt na benzynę wreszcie zupełny jej brak. A samochodów całe masy — uciekinierzy, oficerowie, wozy wojskowe i. t. p. wszyscy chcą jechać — kombinują różne mieszanki — nafty, spirytusu i. t. d. — aby tylko dalej na wschód. Czuję się b. wyczerpany.

Oczekiwanie moje nie trwało długo — w niedzielę rano (3 września) po skończonym alarmie lotniczym, wyszedłem do Syndykatu. Urwaliśmy trochę śliwek, wracam i niosę je dla Dwidzi. Nagle na rogu ulicy, grupka ludzi — coś otacza. Patrząc: małe obwieszczenie, powołujące wszystkich posiadaczy białych z czerw. pasem kart mob. natychmiast pod brón. Nareszcie i ja. Coś jakby uczucie ulgi i radości organia mnie. Wchodzę do mieszkania — oznajmiam o wyjeździe. Marysia zrezygnowana pomaga mi się ubierać i pakować. Marysia już w kuchni popłakuje — naogół miny wszystkich niewyraźne. Ja natomiast jestem bardzo opanowany.

Biorę walizkę i maszerujemy na przystanek, P.K.P.-autobus właśnie odjeżdża. Pożegnanie. Marysia stoi na boku, trzyma się dobrze. Mamusia natomiast ogromnie płacze. Skok do samochodu i odjazd. Rozmyślając nad ostatnimi chwilami — i rozstaniem szybko dojechałem do Warszawy, a następnie do koszar 36. p. p. Tam zastaję kilku oficerów i jednak nikogo znajomego — naogół w koszarach pustki. Dostaję przydział do 6 komp. dowódca por. rez. W., ja jestem dcą I plutonu. Dca pułku ppłk. Milian, d-ca naszego bat. mjr. Znamirowski. Maszerujemy do szkoły na ul. Kowieńską — tam będzie nasza kwatera.

Pierwsze dni — ruch gorączkowy, napływają wciąż nowi żołnierze organizacja, pobieranie sprzętu i. t. p. Wkrótce kompania liczy 120 ludzi, ale z umundurowaniem i uzbrojeniem gorzej — gdyż w magazynach mob. nic nie ma i musimy czekać na dostawy. Jadamy trzy razy dziennie w naszym kasynie oficerskim — jedzenie dość mierne. Zaprzyjaźniam się ze Stachem R. Usiłuję nawiązać kontakt z domem — piszę listy. Co dzień zrana i przed wieczorem mamy wizyty bombowców niemieckich — latają jednak na dużych wysokościach, nasza artyleria przeciwlotnicza dużo strzela, podobno dość celnie. Z gazet niewiele można się dowiedzieć o ogólnej sytuacji. Czekam bezskutecznie na wiadomości od Marysi. Trochę jestem podenerwowany. Wybieram się szukać urzędu pocztowego, żeby dzwonić do Grójca. Dochodzę do dworca wileńskiego. Niestety poczty niema. Nagle — alarm lotniczy. Ulice w mgnieniu oka opustoszały — zdala słycać wystrzały armatnie, samolotów jeszcze nie widać. Znudziło mi się czekać — maszeruję dalej, mimo otrzegawczych znaków policjantów, ukrytych pod drzewami. Słychać warkot motorów i bliskie wybuchy bomb. Jeden z większych nalotów. Ale jest już i poczta. Stałem przed wejściem i obserwuję. Dookoła widać pikujące samoloty. Trwogi nie odczuwam. Nagle straszny huk, jeden, drugi, trzeci . . . samoloty tuż nad nami. Dwóch żandarmów, stojących obok mnie chowa się do bramy. Szyby z sąsiednich domów lecą, pęd powietrza omal mnie nie przewrócił, rozlegają się okrzyki przerażenia, dom stojący o kilkanaście metrów po drugiej stronie ulicy, płonie. Zrzadka słychać przez huk wybuchających bomb, szcęk naszych karabinów maszynowych. Wkońcu po dłuższym bombardowaniu samoloty odlatują. Wchodzę do urzędu — rozmów nie przyjmują — posyłam do Marysi depeszę. Wracam na kwaterę. Po drodze kilku policjantów i cywilów prowadzą jakiegoś pokrwawionego mężczyznę. Podobno szpieg niemiecki. Sądząc o obrazków, jakie już nieraz widziałem — zdaje się, że ludzie mocno przesadzają z tymi szpiegami i dywersantami. Często wychodzą wprost śmieszne historie np. na kominiarza chodzącego po dachu i czyszczącego kominy, kilkunastu policjantów z wydobytymi rewolwerami z komisarzem na czele — robiło oblawę. Ale zdarzają się wypadki, że te niesłuszne osądzenia kończą się tragicznie. Dziwna psychoza.

Obok naszej szkoły, na podwórzu, wielu mężczyzn różnego wieku kopie rowy i schrony przeciwlotnicze. Zapoznałem się z jednym z nich: Jest to dziennikarz z zawodu. Ostatnio pracował w Paryżu. Dowiaduję się wielu ciekawych rzeczy, gdyż jest on byłym wachmistrzem legionowym II brygady. Często rozmawiamy na tematy polityczne.

Nareszcie po kilku dniach bezczynności i oczekiwania, w sobotę (9—IX) otrzymujemy rozkaz marszu na Grochów. Kompania nasza wyekwipowana b. miernie i różnorodnie: drelichy, długie spodnie, owijacze, polówki, furazerki; a nawet rogatywki, karabiny różnego typu jeszcze z wojny światowej

(na 150 karab. jest tylko 5 krótkich Mauserów, wzięli je oficerowie, gdyż pistoletów dla nas już nie było); bagnatów brak, maski gazowe tylko S i D. małych wogóle niema, połowa ludzi bez bagnatów, na cała komp. 6 hełmów (jeden wziął d-ca, a resztę daliśmy celowniczym R. K. M.). Otrzymaliśmy jeszcze po 3 granaty i z ochotą i śpiewem maszerujemy. Na Grochowskiej znów większy nalot. Przeczekaliśmy go w budynku Uniwersytetu (wydział weteryn.) Korzystając z okazji, chodzę po całym gmachu. Szyb wcale niema; laboratoria, zbiory, dokumenty, biblioteka — wszędzie nieład, wszystko stoi otworem, żadnej opieki, ni żywej istoty. Czemu taka panika?

Dochodzimy do rogu ul. Grochowskiej i Podskarbińskiej. Tu mamy budować wprzek ul. Grochowskiej barykadę. Bierzymy się do roboty; podkłady kolejowe, płyty z chodników, szyny tramwajowe, wozy, worki z piachem — wszystko to użyte jest do budowy. Ruch na ulicy ogromny (kierunek na Wschód-Garwolin i Mińsk). Różnego rodzaju pojazdy, samochody, motocykle, wózki ręczne, wozy wyładowane dobytkiem, masa pieszych z pakunkami w rękach, całe rodziny, konie, psy — wszystko to płynie nieprzerwaną falą. Widok przykry i przygnębiający. Policji wcale nie widać — stajemy ze Stachem na workach z piachem i na zmianę regulujemy ruch. Idzie to ogromnie ciężko, wszyscy się bardzo śpieszą, zatargi z oficerami jadącymi w wyładowanych samochodach — ale nas to nie peszy. Wytrwaliśmy do wieczora, ale ochrypnęliśmy całkowicie. Wieczorem dowiadujemy się, że obecnie jesteśmy 3 komp. 1. p. p. obrony Pragi. Po kilku sprzecznych rozkazach, zajmuję ze swym plutonem stanowiska w polu, na lewo od ulicy Grochowskiej aż do toru kolejowego na wysokim nasypie, idącego na Rembertów. Zapada noc. Ruch na ulicy nieprzerwanie trwa i wzrasta. Ubezpieczam się, zajmuję prowizoryczne stanowiska. Śpimy na ziemi, okryci tylko płaszczami — zimno i głodno, gdyż kuchnia jeszcze nas nie odnalazła. Rano — pluton kopie stanowiska, ja usiłuję nawiązać łączność z moim lewym sąsiadem, który miał znajdować się za torem. Niestety dotąd niema tam nikogo. Idę z pchr. Jannaszem do naszej placówki, wysuniętej nieco w przód.

Nagle słychać warkot i szum zbliżających się samolotów. Leci ich cała masa — pośrodku białe, lśniąca, trzysilnikowe olbrzymy, otoczone całym rojem, czarnych, lżejszych dwupłatowców. Widok majestatyczny, ale nie długo możemy podziwiać, gdyż ziemia zaczyna wprost drżeć, huk i wycie motorów ogłusza wszystkich. Pikują jeden za drugim prosto na nasze stanowiska (tuż za nami znajdują się fabryki prywatne oraz Państw. Zakłady Inżyn.). Przeżegnałem się i leżąc na ziemi patrzę. Serce trochę mocniej bije, ale jestem spokojny. Obserwuję swoich żołnierzy — wielu głośno się modli — niektórzy przywarli twarzami do ziemi i tylko każdy wybuch bomb, wzbudzający w nich nerwowe drżenia, wskazuje, że jeszcze żyją. A bomby padają dookoła. Samoloty przechylają się z jednego skrzydła na drugie — przy każdym nachyleniu widać wyraźnie wylatujące bomby — po jednej, trzy, a nawet pięć. Każda z nich zdaje się leci wprost na nas. i faktycznie rozrywają się tuż dookoła nas — pył nas przysypuje, ziemia bez przerwy fałuje. Rozmawiamy z Jannaszem, czy przeżyjemy ten nalot? Myśli przebiegają błyskawicznie czy to już koniec z nami. — trudno jak Bóg da — aby tylko długo nie cierpieć. Tumany kurzu i dymu przesłoniły słońce, które wygląda przez te sztuczne obłoki jak wielka czerwona tarcza, świat zrobił się ciemny i straszny. Wreszcie i nasza artyleria strzela, widać świetlne pociski, kierujące się ku samolotom. Zrobiło mi się rażniej — wtem

tuż koło mnie z sykiem wpadają świetne smugi, pociski warczą tuż koło uszu bez przerwy. Co jest? Zagadka się wyjaśnia — z poza nasypu wyłania się olbrzymia 3 — motorowa maszyna niemiecka. Silniki wprost wyją — leci wolno na wysokości zgórą 10 m — widać wiszące z boków bomby, koła jej dotykają prawie ziemi. Jest już nademną, nasze pociski z. C. K. M. biją w nią bez przerwy, są one niepotrzebne — stery wraz z całym ogonem wiszą na jednej lince. Przeleciała jeszcze z 50 m i przy nasypie z hukiem wyleciała w powietrze. Radość ogarnęła serca nasze, pomimo, że samoloty, jakby się mszcząc walą bomby jeszcze gwałtowniej. Wreszcie, gdy zdawało mi się, że już wszystko dokoła leży w gruzach, huki stają się coraz rzadsze, słychać tylko wystrzały armatnie, a poza tym cisza. Samoloty odleciały. Trochę głupie uczucie — cisza aż dzwoni w uszach. Sprawdzam pluton — szczęśliwie wszyscy żyją — tylko niektóre twarze zmienione — jeszcze nie oprzytomniałe. Rozmawiam z nimi — śmiejemy się wesoło. Teraz można. Oglądam leje pozostałe po wybuchach bomb. Jest ich pełno dokoła — niektóre dochodzą do 30 m średnicy i chyba z 10 m głębokości. Dymy powoli opadają — fabryki stoją prawie nienaruszone, tylko na Gocławku i w głębi Pragi słupy ognia biją w górę. Naogół straty nie tak wielkie, jakby się zdawało, sędząc po ilości samolotów i zrzuconych bomb.

Ulepszamy swe stanowiska, czekamy na kuchnię. W międzyczasie tłumy uciekinierów rosną, na szosie już brak miejsca — rozlewają się szerszą falą na pola, przez stanowiska mego plutonu. Wszystko ogarnięte paniką. Ewakuacja szpitali, urzędów, policji — widać całe kolumny taborów wojskowych, wozy, pojazdy różnego rodzaju, konie, stada bydła; mnóstwo żołnierzy pojedynczych — opowiadają niestworzone historie — siejąc wśród plutonu anarchię. I tak bez przerwy cały dzień. — Zaczyna się ściemniać — fala uciekinierów rośnie — przybiegają do mnie zatrwożeni drużynowi — co robić? żołnierze nasi uciekają, zostawiając broń na stanowiskach. Dowódcy komp. nigdzie nie widać. Drużynowi radzą też cofać się na Garwolin. „Obiechałem“ ich i wydałem rozkaz — wszyscy na miejsca — wzmocnić czujność, w razie chęci ucieczki — strzelać w łeb. Moralnie czuję się fatalnie — denerwująca noc. Łążę po całym plutonie — rozmawiam z żołnierzami, podtrzymuję ich na duchu. A uciekinierzy płyną bez przerwy — wielu bez broni; niektórzy napół umundurowani, różne szarże i formacje, przykry widok. Dopytuję o Grójec — niestety idą nie z tej strony. Wieczorem (nareszcie po dwóch dniach) znajduje nas kuchnia, — dostajemy gorącą kawę.

Ponieważ te trzy noce spędzone w polu trochę mi dokuczyły, na noc lokuję się do leżącej tuż koło naszych stanowisk, fabryki dźwigów B-ci Jenike. Tam na 2-gim piętrze w gabinecie dyrektora — mój kpr. Zielinski przygotował nocleg. Po wyznaczeniu służby „smaruję“ na górę. Widok pociągający — ciepłutko, głębokie fotele klubowe, dywany. Z rozkoszą wyciągam swe zmęczone kości na miękkim tapczanie — nareszcie wyśpię się po ludzku. Kpr. Zieliński nakręca patefon — masa najnowszych płyt. Słucham — wspominając i marząc o swej „Maleńkiej“. Co się z nią dzieje? Ale trwa to niedługo, gdyż wkrótce śpię! Budzą mnie jakieś szarpania — widzę nad sobą strwożoną twarz kaprała. Panie poruczniku nałot! Co, w nocy! — rzeczywiście olbrzymia hała fabryczna, znadująca się pod nami zaczyna drżeć, szyby lecą z okien. Nawpół senny zbiegam do plutonu — W samą porę — zawsze w polu lepiej się człowiek czuje. Samoloty już bombardują — trwa to niedługo. Rzuciły kilkanaście bomb i odleciały.

Jednak wygodny nocleg przepadł — wszystkie szyby w fabryce wypadły od blisko rzuconej bomby. Kładę się na ziemi w jakiejś dziurze, koło mnie Zieliński i drżąc z zimna — staramy się zasnąć. Nad ranem nalot — jak normalnie, ale teraz przechodzi to bez wrażenia. Wyprawiam kilku „cwaniaków“ na W-wę, aby coś kupili do jedzenia, gdyż nasza kuchnia mocno szwankuje.

Przed wieczorem wzywają mnie do d-cy bat. mjra Znamirowskiego, kwaterującego niedaleko ul. Grochowskiej. — Mam wziąć kilku kolarzy i jechać na patrol w stronę Wawra — dowiedzieć się jak wygląda sytuacja. Słychać strzały — wychodzimy z mjrem na podwórze. Strzelania na ul. Grochowskiej. Co robić? Jechać! Dojeżdżam na czele kolarzy do barykady — strzały padają dokoła, z okien domów, z ulicy — Kto? do kogo? nic nie wiadomo — ogólne zamieszanie. Głupstwo może w nas nie trafić — jedziemy na Wawer — strzały cichną. Okazuje się, że to kręcący się wszędzie dywersanci — strzelali — usiłując wywołać panikę. Ruch na szosie mimo ciemności, dość znaczny. Tabory wojskowe mniejsze i większe, oddziały zwarte — wszystko maszeruje na Garwolin. Jednak porządek jest względny. Niema tej paniki z przed kilku dni. Spotykam grupki cywilów — idących w kierunku na W-wę. Pytam — są to Warszawiacy, — wracają do domów, gdyż w okolicach Garwolina, Mińska i t. p. straszny głód, nic kupić nie można — tysiące ludzi dawno wszystko wyjadło; wołą zginąć w W-wie, niż tam umrzeć z głodu. Grupki takie spotykamy coraz częściej. Przejechawszy kilkanaście km., wracamy.

Rano — zmiana stanowisk. — Mój pluton cofnięty trochę w tył, ma obsadzić ul. . . . mając za lewą granicę tor kolejowy, prawą — koniec zabudowań P. Z. Inż. Odcinek, ze względu na fabryki, niezbyt bezpieczny. Budujemy barykady — jedną przy torze, drugą zaś na prawej granicy mego odcinka (ulokowałem tam I drużynę, zamykającą ul. . . z dwóch kierunków). Nie możemy sami dać rady przy budowie (pluton liczy ponad 70 ludzi) — zatrzymujemy cywilów, którzy muszą nam pomagać — przecież to leży w ich interesie. Niektórych opornych każe dłużej zatrzymywać. Po dwóch dniach, urozmaiconych jak zwykle kilkakrotnymi nalotami, barykady gotowe. Nasza komp. powiększyła się, mamy kilku nowych podoficerów — ja dostaję sierżanta i dwóch podchorążych — biorę ich do swego otoczenia, gdyż wszystkie funkcje mam obsadzone. Po obiedzie udało mi się w piwnicy jednego z domów — znaleźć łazienkę. Rozebrałem się i z rozkoszą zanurzyłem się w wannie. Woda coprawda zimna, lecz od blisko dwóch tygodni, ani razu nie myłem się solidnie. Niedługo trwała ta przyjemność. Nagle dom jakoś dziwnie drży — szybko się ubieram, wybiegam na ulicę. Bombardowanie w całej pełni. Nie zważając na to biegnę wzdłuż parkanu do I drużyny. Tam wszystko w porządku — cała drużyna siedzi w piwnicy — w sieni stoi tylko st. strzel. Dębski — stanąłem obok niego i obserwujemy. Bomby padają b. blisko, samoloty krążą tylko nad moim odcinkiem — widocznie mają zadanie bombardować tor. i zakłady Inż. Wszystko dokoła się trzęsie. Szyby lecą bez przerwy. Nagle cały nasz dom zakołysał się. Ale nic. Niektóre budynki fabryk palą się. Widać już niewiele. Kłęby dymu otaczają nas dokoła. Wbiegam na pierwsze piętro, aby coś zobaczyć, a tam na suficie ogromna dziura, a w podłodze znajdującej się tuż nad sienią w której stałem, tkwi 100 kg. bomba. Nie wypaliła, Bóg strzegł!

Jednak i tu nic nie widać. Rozlegają się wołania o ratunek. Wybiegam wraz z podch. Jannaszem i kilkoma chłopcami na ulicę. Kilka domów się pali —

wzdłuż całej ulicy leżą co kilka metrów bomby zapalające, świecąc jasnym płomieniem. Przy końcu obok toru, zaczyna się palić fabryka przyrządów elektr., która przylega do domu mieszczącego naszą kancelarię i mag. amunicyjny. Sytuacja niepiękna — nie zważając na strzały z CKM., jakimi obdarzają nas krążące samoloty — biegniemy. W samą porę, gdyż ogień dochodzi już do kancelarii. Wołamy żołnierzy, ale bez skutku — leżą w polu między burakami, wzgl. obok toru przy parkanie i nawet głów nie podnoszą. Samoloty bombardują bez przerwy. Niema rady — z dwoma pchr. zawod. Jannaszem i kilkoma odważniejszymi żołnierzami — bierzemy się do roboty. Wynosimy wszystko na placyk przy torze. Nagle huk straszny i wstrząs powietrza rzucił nas na ziemię — to bomba wywaliła właśnie w sam środek placyku — wszystko to co wynieśliśmy, kilku żołnierzy, oraz dwóch cywilów uciekinierów, którzy się tu schronili — znikło bez śladu — i tylko pozostał lej ogromny, zajmujący całą przestrzeń od toru do domu. Na refleksje niema czasu, gdyż ogień wprost parzy. Pracujemy gorączkowo w dalszym ciągu. Słychać jakieś sygnały — to straż pożarna — kilka oddziałów, gdyż cała ulica płonie. Hydranty poszły w ruch — nie trwa to jednak długo, gdyż węże są za krótkie i nie pasują a na domiar złego brakuje wody. Przyglądamy się bezczynnie na palące się domy. Wiedziony ciekawością rozglądam się dokoła — tuż za torem na przestrzeni kilkuset metrów palą się olbrzymie magazyny kolejowe z węglem, oliwami, smarami i t. p. Co chwilę nowy słup ognia wystrzela w górę. Maszeruję na przejazd kolejowy, gdzie kilka godzin temu zajechał pociąg z całym transportem wojskowym. Widok okropny — przejazdu niema, tylko olbrzymie dofy jeden przy drugim, podeszłe wodą, nad którymi sterczą powyginane fantastycznie szyny kolejowe. Pociąg gdzieś znikł — przodki od armat, koła wagonów, części lokomotywy, tysiące pocisków karab. — wszystko to pomieszane z krwią i szczątkami mundurów i ludzi. Nikt nie ocalał — wstrząsnąłem się nie mogąc patrzeć na te straszne i w okropny sposób poszarpane zwłoki tych, którzy przed godziną jeszcze żyli i oddychali. Przygnięziony wracam do plutonu — wydaję zakaz udawania się na przejazd.

Nad wieczorem d-ca komp. otrzymuje rozkaz zmiany stanowisk. — Czy rozkaz był źle wydany, czy też źle go zrozumiał, dość — że łązimy kilka godzin, a d-ca nie może się zdecydować na wybór miejsca. W rezultacie kładziemy się spać na polu, niedaleko poprzedniej kwatery. Widno jak w dzień. Dokoła pożary i luny. Widok okropny, ale wspaniały. Żołnierze boją się spać — czekają na nalot samolotów. Domęczyliśmy się tak do rana. 14. IX. Zajmujemy znów nasze pierwsze stanowiska — w polu, na skraju fabryk. Maszerujemy na czele plutonu, teren trudno poznać — tam gdzie dwa dni temu leżeliśmy — olbrzymie leje i góry piachu — po naszych stanowiskach ani śladu. Mieliśmy szczęście! Rozlokowuję pluton, a sam snaląwszy jakąś dziurę mam zamiar spać. Nic z tego — zbliża się jakaś młoda niewiasta. Zaczynamy rozmawiać — ma lat 19, mieszka pod W-wą, ale teraz są tam Niemcy i nie może się dostać. Chwilowo schroniła się do fabryki dźwigów. Opowiada swe przeżycia: ostatnio pracowała w szpitalu, gdzie leżał jej ranny brat. Szpital ewakuowano na wschód — ona została. Zaofiarowała się, że może coś ugotować, gdyż ma trochę zapasów. Z chęcią się zgodziłem, bo nasza kuchnia prawie nie działa, a o żywność bardzo ciężko. Wkrótce spożywamy we czwórkę smakowitą zupę. Po kilku godzinach znów zmiana stanowiska, idziemy na teren oparkaniony, bliżej ul. Grochowskiej, około 500 m od obecnego miejsca. Tu mamy kopać nową barykadę. Nad wieczorem sły-

chać warkot. Wysoko leci samolot. Obserwujemy go, gdyż z doświadczenia wiemy, że przed każdym nalotem ukazywał się najpierw jeden obserwator, a dopiero w kilkanaście minut później następował właściwy nalot całych eskadr. Rozlegają się nieliczne strzały. Noc mieliśmy spokojną. Przespałem się na trawie, przytulony do parkanu, żeby było cieplej. Sny miałem niespokojne. Przez cały dzień pracujemy nad barykadą.

15. IX. (piątek) Wieczorem maszerujemy na nowe stanowiska w rejon ul. Radzywińskiej. Idziemy w ciemnościach wzdłuż toru, mijając zgłiszczta i ruiny zbombardowanych domów. Po trzech godzinach jesteśmy na miejscu, ale znów dowódca nie wie dokładnie, gdzie się mamy lokować.

Czekamy do rana. Kładę się na chodniku, mając pod głową kupkę ziemi, którą zasypane jest okienko od piwnicy i znużony śpię. Rano mój pluton zajmuje ul. Tykocińską, moja kwatera w jednym z domów koło kościoła (jeszcze nie wykończonego). Budujemy jedną barykadę tuż koło mej kwatery, drugą na ul. . . . Po kilku godzinach zmiana rozkazu — Moje miejsce zajmuje Stach ze swym II plut., ja idę prawie na sam koniec Radzywińskiej. Ponieważ jest to kierunek b. ważny, mamy zbudować solidną barykadę. Odcinek plutonu sięga od ulicy włącznie do torów kolejowych. I drużynę lokuję w magaz. kolejowym, II i III w domach przylegających z obu stron ulicy do barykady. Bierzemy się gorączkowo do pracy. Wszystkich cywilów, udających się do W-wy po chleb, wzgl. na pola po kartofle i jarzyny musimy zatrzymywać, aby pomagali żołnierzom w pracy. Nie obywa się bez incydentów. Niektórzy pracują b. chętnie, większość natomiast trzeba zmuszać. W domach stojących przy barykadzie — wybijamy okna i drzwi na parterze i I. piętrze. W oknach kładziemy worki z piachem — tu będą stanowiska strzelców i K. M. Otrzymaliśmy nowy transport granatów i butelek z naftą i benzyną do zapalania czołgów. Teren cały od barykady aż na tor każę odrutować i zrobić zasieki.

Kwaterę dla siebie wybrałem na I piętrze balkonu, znajduje się tuż nad barykadą. Obserwacja stąd b. dobra.

Do mego plutonu przydzielono drużynę 30 ochotników (ubrani w same drelichy, bez płaszczy) Dużynowym ich jest pchr. rez. Kucman. Lokuję ich w wagonach kolejowych na torze.

Teraz nareszcie jest jakiś porządek. Kancelaria i kwatera d-cy komp. jest na ul. Piotra Skargi. Kuchnia jest tylko dla komp. W kanc. znajduje się radio. Obecnie jesteśmy I. komp. 1. p. p. Obr. Pragi.

Przed wieczorem wpada mi w ręce gazeta. Serce mi bić przestaje — czytam o bombardowaniu Grójca (6 i 7 września) — Grójec jest także wymieniony. Najczarniejsze myśli przychodzą do głowy.

16. IX. Rano major szuka ochotnika na dłuższy patrol. Załączam się — pluton zostawiam Rzewuskiemu. Przed wieczorem jadę na czele kilku kolarzy szosą na Żąbki do Zielonki — ponieważ dziś z tego kierunku strzelały działa niemieckie, mam się dowiedzieć, czy w Zielonce jest nieprzyjaciel. Dojeżdżamy do st. Żąbki — po drodze pustki, tylko przy szosie leży strzaskany nasz samolot. Na stacji dowiaduję się, że na rynku w Żąbkach jest już kilka czołgów, działa i 3 samochody z żołnierzami niemieckimi. Co robić? Kpr. Zieliński radzi wracać, gdyż do Zielonki jest jeszcze 5 km, a Niemcy każdej chwili mogą nas odciąć. Spoglądamy na żołnierzy — Wpatrzeni we mnie — czekają, co zadecyduję. Nie odczuwam żadnej trwogi — Jedziemy tam, gdzie mam rozkaz — do Zielonki. Zielonka jak wymarła — nikogo nie widać. Cisza — tylko od czasu do czasu słychać dalekie strzały karabinowe. Staram się

odnaleźć dom siostry Mańka, i od niej dowiedzieć się coś o Grójcu. Ale niestety — byłem tu kilka lat temu — teraz dużo się zmieniło i jest przecież noc. Po bezskutecznych poszukiwaniach — wracamy. Wszędzie głucha cisza — przejeżdżamy przez stację Ząbki — nic niema. Odczuwam, że żołnierze lżej oddychają. Zostawiam ich na barykadzie — sam jadę do majora złożyć meldunek. Długa droga, ponieważ dowództwo baonu jest aż na Stalowej. Na ulicach ciemno, wszędzie barykady; co kilka minut posterunki zatrzymują mnie. Z trudem odnalazłem kwatere, złożyłem meldunek i wracam. Ale teraz gorzej — zabarykadowane uliczki i ciemności utrudniają mi orientację. Błąkam się i nie mogę wydostać z tego labiryntu. Żywej duszy nie widać. Spać mi się chce i zmęczony jestem okropnie. Nareszcie po wielu wysiłkach odnajduję właściwą drogę i nad ranem walę się jak kłoda na otomanę.

17. XI. Budzą mnie jakieś huki — czy znów nalot? Nadsluchuję — nie — to Niemcy strzelają do nas z armat. Znaczy to, że cała W-wa jest już przez nich dokoła otoczona. Suche trzaski pękających granatów i rozrywających się szrapneli — nic mnie nie biorą — jestem najzupełniej obojętny i spokojny. Z głębi Pragi odzywa się i nasza artyleria — obustronna wymiana strzałów. Po godzinie — cisza — pojawiają się samoloty — normalne bombardowanie. Tylko na zakończenie samoloty zrzuciły całą masę bomb zapalających. Leżąc przed nami: huta szkła, fabryka konserw i fab. smarów Borzerewicza — palą się wysokim płomieniem. Wyszędłem z Jannaszem na dach 5-cio piętrowego budynku w którym mam drugą drużynę i stamtąd podziwiamy wspaniały, ale groźny widok. Cała Praga zasnuta kłębam dymu, pożary dokoła. W gazetach ukazał się ostatni komunikat Sztabu Generalnego, donoszący o dzielnej postawie naszych wojsk, o wielkiej ilości samolotów strąconych przez artylerię, o całej kolumnie czołgów rozbitych przez naszych pod Lwowem. Wycofywanie się niektórych dywizji — komunikat tłumaczy względami strategicznymi. Wszyscy odczuwamy, że coś jest nie w porządku.

18. IX. Do barykady przydzielono mi 3 CKM i 2 działka p-panc. Prace nad barykadą trwają w dalszym ciągu. Dziś w nocy na przedpole wyszły nasze oddziały (pułki 78, 79 i 80) celem ochrony prac fortyfikacyjnych. Na naszym kierunku w odległości 2 km. znajdują się stanowiska niemieckie. Dowództwo obrony W-wy objął gen. Rómmel, W gazetach ukazują się tylko komunikaty z W-wy. Łączność z krajem całkowicie przerwana. Jest wzmianka o nabożeństwie żałobnym za dusze poległych na Westerplatte. Depresję naszą pogłębiają wieści, Śmigły wraz z min. spraw wojsk. Kasprzyckim, jakoby cały nasz rząd, prezydent już w pierwszych dniach wojny uciekli do Rumunii. Niemcy zrzucają z samolotów masę ulotek, wzywających do poddania się.

19. IX. Zrobiłem inspekcję swego odcinka — na torach masa transportów — całe pociągi z armatami, samochodami, amunicją, żywnością zbożem i t. p. wszystko to stało nienaruszone i nie strzeżone przez nikogo. Nakazałem wystawić posterunki i złożyłem meldunek z prośbą o zabranie tych bogactw. Życie nasze unormowało się. Śniadania i kolacje bierzemy z kuchni — zaś na obiady zbierają się oficerowie w jednym z pokojów, koło kancelarii. Tam mamy chwile rozrywki, gdyż słuchamy wiadomości radiowych i możemy sobie pogwarzyć. Obiady przyrządzają i podają trzy panie z W-wy (19—24 lat). Są one przy naszej komp. jako niby sanitariuszki. Zachowanie ich trochę mnie razi, wyraźnie mają chęć na głębszy flirt. — Często nabijam się z nich z tego powodu. Do każdego obiadu jest coś wypić. Papierosów mamy dość

dużo — dziennie otrzymujemy po 20 sztuk Mew, Rarytasów lub Płaskich. Przed wieczorem stoję przed barykadą, obserwując przedpole. Cisza. Nagle od strony W-wy ukazuje się szereg aut zaopatrzonych w różnokolorowe chorągiewki — na dachach wozów białe płachty. To zagraniczne poselstwa i ambasady opuszczają W-wę. Samochody wylądowane i natłoczone — widać panie w cennych futrach, panowie cylindrach i wojskowi. Różne narodowości i rasy. Kiwiają nam rękami i salutują na pożegnanie. Na wielu twarzach maluje się współczucie.

20. IX. Wiadomość, która wstrząsnęła nas do głębi: bolszewicy niespodziewanie przekroczyli granicę i nienapotykać na opór w szybkim tempie zajmują nasze ziemie. W pismach odezwa Prezydenta, że wobec takiego stanu rzeczy, zmuszony jest wraz z rządem opuścić kraj i udać się zagranicę. Czyżby już koniec z naszą ojczyzną?

Przychodzi rozkaz, że bez względu na to, co się stało, mamy wytrwać na stanowiskach. Rozmawiamy między sobą, wiemy że sytuacja jest beznadziejna, gdyż gazety donoszą, że cały nasz obszar zajęty został przez Niemców lub bolszewików. Bronią się tylko Warszawa, Modlin, Gdynia i Lwów (gen. Sosnkowski), a pod Kutnem trwają zażarte boje armii gen. Bortnowskiego, który chce się przebić do W-wy. Czy waszyscy mamy tu zginąć — ratując honor naszej ojczyzny i armii, która w tak szybkim tempie uległa likwidacji? Wśród żołnierzy całkowity upadek ducha. A Niemcy nie dają nam spokoju. Teraz kanonada trwa już dzień i noc bez przerwy. Działa ich milkną jedynie wtedy, gdy zaczyna się nalot. Na torach od 3 dni palą się pociągi z cysternami benzyny, nafty i oliwy. Po nocach jest stale widno, gdyż domy palą się. Częste wypadki nocne naszych bez przerwy oddziałów na pozycje nie odnoszą skutku. Dokoła nas nieprzerwany łańcuch Niemców — gruzy i zgłiszczą, tylko domy, w których jest umieszczony mój pluton jakos trzymają się. W gmach, w którym kwateruję, rąbnęło kilka pocisków, barykadę w jednym miejscu, rozwalilo, musimy naprawiać. Jest trzech zabitych i kilku rannych z CKM. Przechodzenie przez ulicę jest b. niebezpieczne — gdyż dużo strzelają teraz szrapnelami. — Wszystkie ściany naszych kwater są nimi poszarpane. W magazynie gdzie kwateruje pierwsza drużyna, pocisk zrobił w suficie ogromną dziurę — na szczęście nie rozewał się. W plutonie Stacha są zabici i ranni. Pomoc sanitarna pod psem — niema noszy, ani samochodów — ranni muszą o własnych siłach wlec się na tyły, gdzie znajdują się punkty opatrunkowe. Większość szpitali w W-wie porozwalanych. Ranni leżą na podłogach w piwnicach. Brak wody, środków opatrunkowych i światła — gdyż przewody są uszkodzone. Telefony nie funkcjonują, łączność trzeba utrzymywać przez gońców pieszych. Nasze telefony wewnętrzne mimo ciągłych napraw także nie działają, gdyż pociski małe rozrywające się bez przerwy niszczą przewody. Nasza artyleria strzela już niewiele, musi oszczędzać amunicję — samoloty niem. bombardują bezkarnie. Naszych samolotów wogóle przez ten cały okres nie widzieliśmy — Często rozmawiamy, gdzie się to wszystko podziało, doszukujemy się różnych przyczyn.

21. IX. Całą noc wałą armaty, a pomimo, że do huków oddawna się przyzwyczaiłem, to gruz sypiący się ze ścian i sufitu, uniemożliwia spanie. Są chwile, gdy uszy mają odpoczynek to są momenty, kiedy strzelają karabiny maszynowe, Rechotanie ich wydaje się nam po tych przerażających wybuchach, miłą i uspakającą nasze nerwy muzyką. Palą się domy drewniane przylegające do mojej kwatery — usiłujemy coś ratować — brak wody i

sprzętu uniemożliwia ratunek — pożar rozszerza się. Mieliśmy wizytę prez. W-wy Starzyńskiego oraz plk. Lipińskiego, wygłaszającego co dzień przez radio pogadanki o sytuacji. Dojechali do mej barykad, ale z chwilą wybuchów pierwszych pocisków, wsiedli pośpiesznie do samochodu i wycofali się, do naszej kancelarii. Tam ugościliśmy ich resztkami wina, jakie posiadaliśmy.

22. IX. Ale są ważne wieści — z całej armji gen. Bortnowskiego z pod Kutna — przebiło się do W-wy tylko 500 kawalerzystów, z 5000, którzy szarżowali na 3-krotne linie niemieckich karab. maszyn. Nasze wspólne obiady już się skończyły, wywiązały się zbyt intymne znajomości, a w związku z tym różne nieporozumienia. Zresztą z wyżywieniem coraz gorzej. Mięsa brak, jadamy koninę, która wcale nie jest taka zła. Wiemy, że w W-wie i tego niema. A chleba i wody prawie zupełnie brak. Ludzie nie zważając na pociski i bomby po kilka godzin stoją w ogonkach za chlebem i wodą, aby często odejść z niczym. W przerwach między kanonadą, całe procesje udają się na pobliskie pola, żeby wykopać trochę kartofli czy buraków. Wielu z nich ginie od kul. Ale głód jest silniejszy — przychodzą nowi na ich miejsce.

Poszedłem na patrol do oddziału ubezpieczającego nas przy szosie. O posuwaniu się szosą mowy niema, cała zryta bombami i granatami. Wzgląd szosy — ogień. Smutnie sterczą kominny znamionujące, że tu niedawno kwitło życie. Wiele trupów leży nieopogrzebanych. Posuwamy się skokami, wykorzystując nieliczne przerwy między strzałami. Po 500 m jestem na miejscu. Dowódca czaty — zaznajamia mnie z sytuacją. Wychodzimy dla lepszego zorientowania się, na szosę. Natychmiast rozlegają się strzały z CKM. Niemcy mają dobrą obserwację. Musimy leżeć w rowie, przy szosie. Kule świszczą nad głowami, strzelanina potężnieje. Czas wracać. Idziemy obok szosy między kominami popalonych domów. Kule padają gęsto. Kilkanaście razy robimy „padnij” — granaty wybuchają koło nas. Wreszcie jest i barykada. Żołnierze z mego patrolu przyznają się, że mieli porządnego stracha.

Radio angielskie pozdrawia obrońców W-wy i zachęca do wytrwania. Wiemy, że Gdynia i Lwów już padły. Bronią się jeszcze Modlin i Warszawa. Bolszewicy zajęli już podobno całe zagłębie naftowe i na północy dochodzą do Białegostoku. Ogólne przygnębienie i przekonanie, że nic już nas nie uratuje. Odwiedzam Stacha, kwateruje on razem z kolegą. Zapoznają mnie z dwiema młodymi niewiastami, które mieszkają w sąsiednim domu. A na noc przychodzą (rzekomo z obawy przed pociskami) spać do nich. Nie rozumiem niewiast. Jak wogóle, a zwłaszcza w takich momentach, gdzie lada chwila może się człowiek znaleźć na tamtym świecie — można myśleć o tych rzeczach i w tak niewybrednych warunkach (obie pary śpią w jednym pokoju). Diwię się Stachowi, a zwłaszcza koledze, który jest przeciw żonaty. Wyjaśniają mi, że nie tylko te dwie przychodzą — dużo więcej jest takich, które chcą jeszcze użyć życia. Rzecz gustu! Wieczorem modłę się dłużej, niż zwykle. W nocy jak normalnie obchodzę wszystkie stanowiska, sprawdzam pogotowie, czujki. — Noce są względnie ciepłe, rozgrzewają je pożary. Przy akompaniamencie huku dział i rechotaniu karab. maszyn. długie te godziny spędzam ustawicznie na rozmyślaniach i wspomnieniach. Różne myśli. Moja służby nocna przechodzi mi na tych rozmyślaniach dość szybko, nawet ją z tego powodu polubiłem, a ponadto wracając po północy na kwaterę, śpię czasem dość twardo, huk dział nie tak prędko mnie budzi.

23. IX. Z żywnością bardzo słabo — jednak żołnierze dają sobie częściowo radę — chodzą po zdemolowanych mieszkaniach w naszym rejonie i znoszą niewielkie ilości chleba, mąki czy kaszy; za to różnych soków, konfitur i nalewek cała masa. Ze spalonej obok nas fabryki konserw tłumy cywilów noszą puszki z kiszonymi ogórkami. W Warszawie głód daje się dotkliwie we znaki. Dowiadujemy się o ogromnych spustoszeniach wyrządzonych przez bomby i pociski niemieckie. A ogień, naloty i pociski bez przerwy. Nasza artylerja odzywa się już bardzo rzadko — brak amunicji. Pomimo, że mieliśmy czas przyzwyczać się do huków, to jednak jest to uczucie b. przykre — uszy wprost pękają — skupić myśli nie można. Dotkliwe są zwłaszcza suche wybuchy rozrywających się o twardą nawierzchnię ulicy-granatów. Teraz dopiero, gdy każdej chwili można być trafionym, gdy za każdym świstem pocisku coś ci szeptem — może ten jest dla ciebie przeznaczony — odczuwa człowiek, jak marnym jest stworzeniem — jak małą i znikomą wartość przedstawia życie ludzkie. Widok ogromnego zniszczenia i zgłiszcz nasuwa myśli o minimalnym wprost znaczeniu i nietrwałości bogactw ziemskich i nastawia nasze dusze ku pragnieniom cech trwalszych i doskonalszych, ku wyższym ideałom i ustawicznie kieruje nasze myśli ku Bogu. Modlitwy są zupełnie inne — gorące, szczerze, płynące naprawdę z serca i pochłaniające myśli i uczucia nasze niepodzielnie. Modlitwa daje jednak wielkie ukojenie skołatanyemu nerwom i myślom moim.

Gazety już nie wychodzą — radio też przestało działać. Niemcy znów zrzucają ulotki — wzywające do poddania się — przedstawiają beznadziejność obrony. Wśród żołnierzy zniechęcenie — pomimo, że w głębi duszy, przekonani jesteśmy o naszej bardzo przkrej sytuacji — różnymi sposobami staramy się podnieść żołnierzy na duchu. Na kwaterach grają patefony, stara różnych płyt. W III drużynie utworzył się zespół muzyczny — (grają i śpiewają b. ładnie). Jednak obawa przed śmiercią i strach jest u wielu silniejszy nad wszystko — większość dnia spędzają w piwnicach. O tym, ażeby podczas nalotu wyjść mowy niema. Są i jednostki odważniejsze, ale naogół, strach dominuje. Wiedząc, że sytuacja w jakiej się obecnie znajdujemy, jest bez wyjścia, gdyż wiemy, że jesteśmy już ostatnimi walczącymi zorganizowanymi żołnierzami w wolnej Polsce, a na jakąkolwiek pomoc z zewnątrz (mimo różnych fantastycznych pogłosek) nie ma co liczyć — nie dziwię się im zbytnio. Większość z nich ma rodziny, żony, dzieci; niewielu jest młodych, ale wszyscy chcą żyć!

Żołnierze przyprowadzają do mnie 3 niewiasty (młoda mężatka) — mąż na wojnie — i dwie pensjonarki po lat zgórą 18. Jedna z nich Jadzia nawet dość ładna.

Proszą o zezwolenie zamieszkania w tym domu, gdyż ich mieszkania są popalone, a one nie mają ani gdzie mieszkać, ani co jeść. W zamian za to chcą pomagać żołnierzom przy gotowaniu. Zgodziłem się na ich zamieszkiwanie, zastrzegając (na wszelki wypadek), że na żadne poufałości z żołnierzami nie pozwolę i wszystkie trzy będą spać w jednym z oddzielnych pokojów.

Życie nasze wewnętrzne płynie bardzo jednolicie. Skrzętanina i naloty ustawiczne — ale to przechodzi już bez wrażenia. Często odwiedzają mnie Stach, Jannasz, Zdzych, czasem ppor. z K. M. Wolne godziny spędzamy na grze w bridgaa. Żołnierze nazywali mi najnowszych płyt. Zieliński kręci po całych dniach. Jak dziwnie i bez żadnej wartości wydają się te przeboje, które niegdyś tak mi się podobały. — Jednak każę dużo grać.

Muzyka trochę tłumi te ustawiczne huki — a chwilami nasuwa na myśl wspomnienia tego, co przeszło, a niewiadomo, czy jeszcze kiedykolwiek będzie. Pałę bardzo dużo.

O północy wracam jak zwykle na kwaterę. Przechodząc zaglądam do pokoju w którym miały spać te trzy niewiasty. Jest ich tylko dwie — obie leżą w łózkach, a obok nich dwóch kaprali. Trzeci rozbiera się. Patrzę z pogardą na ich przestraszone twarze. Idę do siebie — zapalam świecę — kpr. Zieliński śpi — a na mej otomanie leży Jadzia. — Pytam co tu robi — tłumaczy się, że boi się spać na dole. Proponuję jej miejsce w kuchni — śpi tam kpr. Łuczyński, a obok jest łóżko wolne. — Mówi, że też się boi, a tak bardzo by chciała tu spać.

24. IX. Rano wezwałem do siebie kaprali, zrugalem ich, a dziewczętom kazałem opuścić naszą kwaterę. Odwiedza mnie Stach. Rozmawiamy na ten temat. Dziwią mi się. — Ja natomiast jestem bardzo z mego postępowania zadowolony. Znow gramy w karty przy dźwiękach patefonu i akompaniamencie wybuchów. Granaty wybuchają tuż przy barykadzie, szrapnele rozrywają się, zostawiając na otynkowaniach domów masę śladów. Nasz dom trzęsie się — pociski wałę dokoła. Po świcie ich staramy się odgadnąć miejsca wybuchów. Siedzimy tuż koło okna obserwując sputoszenia. Nagle rozległ się straszny huk — zrobily się ciemno, z sufitu i ścian posypaly się gruz. Spoglądamy po sobie, nic się nie stało — tylko szrapnel rozerwał się pod samym oknem. W ścianach koło naszych głów, kilkanaście dużych dziur — koszula wisząca przy oknie, poszarpana jednym z odłamków. Bóg strzegł! Mogło być źle. — Gramy dalej w karty — usiłując huk pocisków zagłuszyć patefonem. — Po chwilowej przerwie — szum silników — normalny nalot — codzienna wizyta. I znow te wstrząsające wybuchy bomb — ta niepewność — czy to już koniec z nami? Po obiedzie odprowadzam Stacha — po drodze widać porozwalane szczątki domów, już przed tym popalonych, leje na całej szerokości ulicy, ulotki niemieckie, grożące użyciem gazów w razie dalszej obrony. Całe dowództwo naszej komp. zebrało się w kancelarii. Rozmawiamy o beznadziejnej sytuacji, artyleria została bez amunicji, żywności brak, a przeciwnik nawet nie myśli o natarciu przewalem, tylko samolotami i działami, wobec których jesteśmy bezsilni. Ale jest rozkaz wytrwamy do końca. Jakie będzie rozwiązanie? Czy kto z nas ocaleje? Wspominamy swe rodziny. Snujemy różne przypuszczenia na temat odzieszy — chodzą pogłoski o wylądowaniu wojsk angielskich i kolonialnych w Gdyni i Gdańsku. Niezbyt to wszystko prawdopodobne. Ale nadziei trochę jest!

26. IX. Rano. — Przeżyliśmy straszne dni. Bombardowanie, które się rozpoczęło w niedzielę po południu — trwało bez przerwy do dziś (wtorek) rana. Deszcz ognia i żelaza sypał się na naszą biedną stolicę. Był to największy nalot, jaki w tej wojnie przeżyliśmy. Setki samolotów pikujących we wszystkich kierunkach, walących bomby z różnych wysokości, o zniżających się prawie do ziemi i strzelających z CKM — przesłoniły niebo i z dnia zrobiła się noc. Wycie pikujących silników, a była ich ilość ogromna, wprawiało ziemię w nieustanne drgania, bliskie wybuchy bomb wprost boleśnie rozsadały nasze głowy. Kłęby dymu szczypią oczy. — Spoglądam na swych najbliższych sąsiadów — leżą bez ruchu, przywarci całą mocą do ziemi. Popiół i pył lecący z nieba przysypuje nas całych — co chwila grudki ziemi spadają na nasze ciała. Nic dokoła nie słyhać i nie widać — jeno ryk motorów i wybuchy bomb. Trwa to całymi godzinami. Czujemy,

że to już chyba koniec. Po raz pierwszy w czasie tej wojny, odczuwam jakiś dziwny żal za życiem — nie chciałbym teraz zginąć. Różne myśli błyskawicznie przelatują — fragmenty z naszego pożycia z Marysią stają mi przed oczyma. — Wola Boska! Westchnąłem z prośbą o opiekę i czekam. Coś mi jakby świta w sercu, że ja chyba nie będę zabity — wierzę mocno, że napewno odrazu nie zginę. I tak przechodzą długie godziny. Czy to się nigdy nie skończy? Słysząc głośne modlitwy — niejeden przerażony wzrok oderwie się na chwilę od ziemi, by ujrzawszy wyłaniający się z kłębow dymu, które całkowicie przesłoniły słońce, samolot lecący z wyciem wprost na nas, przywrzeć z nerwowym drganiem spowrotem do ziemi, wbijając się w nią palcami. Pomimo, że serce bije w tempie przyśpieszonym jestem już dość spokojny. Przecież na to, co przyjdzie nie mam wpływu — więc trzeba leżeć i czekać przeznaczenia. Z nastaniem nocy samoloty odleciały, pozostawiając za sobą ruiny i zgłiszcza. Wszystkie drewniane domy dokoła nas pałą się jasnym płomieniem, żar nie do wytrzymania. Chwila przerwy! I znów wałą niemieckie armaty. Pomimo, że takiej obfitości pocisków jeszcze nie było, ich wybuchy są dla naszych bolących uszu — odpoczynkiem. Nad ranem znów samoloty — zaczyna się na nowo — rzucają się jak wściekle i wałą bezustannie. Nareszcie przeszły te dwa straszne dni — wydające się dla nas wiekiem. Zapanowała głęboka cisza, wywierająca przynębiające wrażenie — i tylko trzask walących się co pewien czas murów — przerywa ją. Ani jednego strzału — wszystko milczy. Chodzę po plutonie — gadam z chłopakami, Wszyscy czujemy, że coś się stanie. Koło południa — przychodzi rozkaz nie wolno strzelać! Zawieszenie broni na 24 godz. Rozchodzą się wieści o pertraktacjach naszego Dowództwa z Niemcami. Na ulicach pojawiają się cywile — ukryci gdzieś do tej pory. Stoję koło barykady i obserwuję ich. Nagle od strony W-wy ukazują się 3 samochody. Białe płachty wiszą na motorach. Przejżdżają koło mnie — salutują — to gen. Rómmel — wzrok smutny, głowa opuszczona na piersi.

Przed wieczorem wzięłem rower i wraz ze Zdlichem, jedziemy do W-wy dla zasięgnięcia informacji. Po drodze dogasające pożary, gruzy po wielupiętrowych gmachach zawalają przejścia przez ulicę. Tłumy ludzi z tobołkami w ręku. — Pełno trupów końskich. Rowerem nie można się przedostać — maszerujemy pieszo. Całe Krak. Przedmieście w ogniu — dach zamku fantastycznie powyginany i pozapadany. Ulice zasnuwane kłębow dymów, podziurawione pociskami i bombami. Idziemy przez te ruiny. — Zdlich pojechał do Banku Handlowego (gdzie pracował i gdzie są jego krewni), a ja zaś do Łoskotów na Nowogrodzką — mam nadzieję, że dowiem się tam coś o Grójcu. Niestety od pierwszego dnia wojny, łączność z Grójcem została całkowicie przerwana. Wracam do Banku, wiele ulic całkowicie leży w gruzach, pożary jeszcze nie powygasały, cała Świętokrzyska zawalona — przejść nie można. Ulice zasłane dymem i pyłem, który szczypie w oczy. W schronie w podziemiach B. H. czekam na Zdzicha. Rozmawiam z pewną panią z Torunia; schroniła się tu wraz ze swymi rodzicami. Mąż jej major jest na wojnie. Doniedawna zwolniczka rządu — teraz z ogromnym rozgoryczeniem opowiada mi o wieściach, jakie krążą po W-wie, o zdradach naszych wyższych dowódców, o ucieczce rządu w pierwszych dniach wojny, o całych bandach ludzi rabujących i rozbijających sklepy i mieszkania prywatne (większość policji ewakuowano ewent. wprost uciekła), o głodzie, jaki obecnie przeżywają i wiele, wiele innych. Historie tak przykre, że

wprost trudno w nie uwierzyć. Nic dziwnego, że w takich warunkach wojny wygrać nie mogliśmy. Złamany na duchu wracam przygnębiony na kwaterę.

27. IX. (środa) Kapitulacja!

Odprawa u majora — dowiadujemy się o warunkach kapitulacji — żołnierzy puszczą do domów, zaś oficerowie do honorowej niewoli. O, nie dobrze! Dokładnie major nie jest jeszcze zorientowany, na wszelki wypadek radzi zaopatrzyć się w ubranie cywilne. Wracam na kwaterę. Na mej kwaterze już są cywile — wracają do swych mieszkań. Szybko wystarali mi się o ubranie, płaszcz, czapkę i pantofle.

28. IX. Cały dzień przeszedł w oczekiwaniu na nowe rozkazy. Niektórzy żołnierze (Warszawiacy) chcą ulatniać się. Wstrzymujemy ich. Wieczorem mamy maszerować do koszar 36. p. p., a jutro zdajemy broń. Swą lornetkę oddaję kolejarzowi. Wieczorem maszerujemy przez opustoszałe i pokryte gruzami ulice. W koszarach poszarpanych trochę przez pociski — otrzymujemy suchary, konserwy i papierosy. — Dziwimy się — skąd teraz to wszystko się znalazło, gdy przez tyle dni nic nie było.

29. IX. Od rana zdajemy resztki broni — ładuje się to na wozy i wiezie do Cytadeli. W koszarach — dużo wojska i ruch ogromny. — Pomimo, że wojsko w oczach topnieje i żołnierzy jest coraz mniej — otrzymujemy nowy rozkaz, że oficerowie przez cały czas muszą być przy kompaniach i razem mamy maszerować o 8-ej wieczorem na plac zbiórki, który będzie podany przez władze niemieckie. Namyślamy się, co robić, konferujemy z innymi oficerami. Trudno się na coś zdecydować. Kręcę się niespokojnie. — Na mieście wiszą plakaty że wszyscy żołnierze pojedynczo, wzgl. poprzebierani na cywilów będą zatrzymani, zaś zatrzymanym w ten sposób oficerom grożą surowe konsekwencje. Zbliża się wieczór — do kompanii, z której obecnie zostało zgórą 50 żołnierzy — zjawia się por. W. przebrany już po cywilnemu i oznajmia, że kto z nas mieszka w W-wie i ma możliwość się tu ukryć, a chce zaryzykować — może kombinować na własną rękę. Postanawiam uciekać na cywila. Oznajmiam kolegom swą decyzję. Stach i Zdzycho maszerują ze mną — pozostali dwaj oficerowie wolą zostać. Przebrani za cywilów — wyszliśmy z koszar i kierujemy się na W-wę, do krewnych Zdzicha. Na rogach ulic — pożegnalny rozkaz gen. Rómmla — dziękujący żołnierzom za dzielną obronę stolicy i wytrwanie — oraz obwieszczenie, podpisane już przez władze niemieckie. Późnym wieczorem znaleźliśmy się w schronie w Banku, tam poczęstwowano nas herbatą i pomimo dużego tłoku (mężczyźni, niewiasty, dzieci, wszyscy razem) — wynaleźli nam nawet jedno łóżko. Szybko zasnąłem.

30. IX. Wstaliśmy b. wcześnie — wszyscy radzą, by zaczekać w W-wie kilka dni, aż się warunki unormują i dopiero wtedy iść do domów. Stach i Zdzycho zostają, ja nie mogę usiedzieć na miejscu — chciałybym już znaleźć się w domu. Żegnam się z nimi, dziękując za gościnę i maszeruję w kierunku Grójeckiej, gdyż postanowiłem przedzierać się wzdłuż szosy. Na rogu Grójeckiej spotykam ludzi idących od Okęcia — pytam — okazuje się, że Niemcy od dziś zrana wypuszczają cywilów z W-wy, ale wszystkich rewidują i trzeba mieć dokumenty osobiste. Żołnierzy i cywilów bez dowodów — zatrzymują. Co robić? Mam na sobie sweter wojskowy, a żadnych dokumentów nie posiadam (gdyż wszystkie nasze dowody, zostały, jak nam oznajmiono w pułku — spalone). Z bijącym sercem zbliżam się do bary-

kady, przy której stoją posterunki niemieckie. Trudno, perspektywa dostania się do Grójca ogromnie mnie pociąga. Wyciągam suchara z teczki i gryząc, obojętnie przechodzę wzdłuż całego długiego szpaleru żołnierzy niem. z bagnetami na karabinach. Nie zatrzymali! Maszeruję do następnej barykady — to samo. Może dopiero na Okęciu zatrzymują? Dochodzę do Okęcia — masa oficerów i żołnierzy niem., po obu stronach szosy, ale przechodzących nie zatrzymują — zauważyłem, że tylko zdęcia robią. Otucha wstąpiła w serce — wyciągam nogi, żeby być jaknajbliżej domu. Po drodze mijam całe kolumny samochodów, ruch na szosie olbrzymi ale tylko sami Niemcy. W każdej grupie drzew czy zabudowań — masy samochodów, dział i żołnierzy. Niektórzy z nich są już w dobrej komitywie z otaczającymi i śmiejącymi się do nich niewiastami. — W jednej z wiosek obok szosy całe stopy pocisków artyleryjskich — ciągnące się ponad kilometr (nic dziwnego, że mogli strzelać bez przerwy). Gdzieniedzie widać świeże krzyże drewniane, tu leżą polegli żoł. niem. Niedaleko za Raszynem, na skraju lasu, lądowisko — na nim kilkanaście samolotów. A przez całą szosę — samochody i motocykle jeżdżą w różnych kierunkach. Tak przeszedłem blisko 30 km i już się trochę zmachałem. Namyślam się, czy nie warto odpocząć. — Nagle z tyłu nadjeżdża wóz, a na nim jakaś twarz znajoma — przyglądam się, to Gładek — nasz sąsiad. Zatrzymuję go i pytam o Grójec. — Mówi, że wszystko w porządku, tylko kilkanaście domów i młyn spalony od wybuchów bomb. Nasz dom stoi nienaruszony. Odetchnąłem swobodniej — dałem mu 5 zł. i jedziemy. Po drodze spotykamy idącego Pycaka, bierzemy go na wóz. O zmroku jesteśmy pod Grójcem. Wsiadam przed mostem i naprzelaj przez ogród — maszeruję do domu. Wszyscy siedzieli w kuchni przy oknie — wybiegają z okrzykami i płaczem. — Jestem już całkowicie szczęśliwy. — Długo w noc opowiadam o swych przeżyciach.

Za oknami domu leży ciemna jesienna noc. Jest cisza, jest jakiś wielki spokój. Jednakże nie długo cieszyłem się z mego pobytu w domu. Niemcy pracują dokładnie. Jednego dnia ukazało się rozporządzenie niemieckiego dowództwa, że wszyscy oficerowie armii polskiej są uważani za jeńców. Tak to dostałem się do niewoli.

W MROKU FIOLETOWYCH ŚWIATEŁ

Mimo odległości przestrzeni, mimo czasu, mimo szeregu zagród — w tych słowach zawarta jest prawda największa. Prawda nieprzemijająca — ta jedynie przyczyna, że piszę. Piszę i mam zamiar pisać ciągle ten jedyny może w swoim rodzaju list, czy jak kto woli — pamiętnik, abyście wtedy, gdy Bozia pozwoli nam się połączyć znowu, mogli znać cały przebieg myśli moich, wyjaśnień, tłumaczeń i wyznań.

Siła tego tajfunu, który przeszedł przez Polskę, siła uderzeń i ich wielostronna częstotliwość, były tak potężne, że dopiero teraz przychodzę do jakiej takiej równowagi myślowej, do jakiej takiej umiejętności skupienia się i oceny zjawisk przy koniecznej ich segregacji (choć z grubsza) na zasadnicze i dodatkowe, na ważne i poboczne. O jakimś porządnym, regularnym pisaniu niema mowy, ze względu na warunki, w jakich się znajduję. W salkach wszystko: brydż, dyskusje (aha!), nauka, rozważania, — szum, do którego z czasem można przywyknąć będzie, skoro już coraz mniej przeszkadza. I może dlatego większa możność skupienia się w sobie, no i pisanie, ale bez żadnej gwarancji systemu. Ot tak: od czasu i okazji — do okazji i czasu.

Więc było tak. Gdy tramwaj, którym odiechałaś, zniknął już w mroku, poszedłem na górne piętro dworca. Wśród półgłosem prowadzonych bezosobowych rozmów czekałem do II-ej godziny. Było ciężko. Naokoło maź dusząca mroku, głuche odgłosy rozmów, fioletowe światełka latarek, ogniki papierosów i wiatr . . . Przykucnięty na walizeczce za jakąś reklamą, zapadałem w nicość, grzęzłem. Lęk o was, obawy o nieznanne. Natarczywa, błagalna modlitwa do Matki Cudownej o opiekę nad wami, nade mną — nad nami.

Miałem jednak nadzieję na warunki normalnej wojny! Na możliwość w tych warunkach okazania wam pomocy, na możliwość korespondencji wzajemnej . . . Droga przez noc w natłoczonym pociągu, przepelnionym rezerwistami, wracającymi dyplomatami, kuracjuszami — rozmowy pełne najrzetelniejszych nadziei i zapewnień. Krótki alarm lotniczy w Krasnymstawie, no i Rejowiec — pierwszy etap podróży skończony.

Aż się zaczęło. Alarm lotniczy! Pasażerowie z trzech pociągów osobowych i jednego ewakuacyjnego stłoczyli się na dworcu. Przerywany warkot bombowców (było ich dziewięć) lśniących, ledwo widocznych na tle srebrzystego nieba. Wszystko ucichło, powoli miały stację, kierując się na Chelm—Kowel. Ale nie! Trzy zawróciły. Przerywany warkot ujednostajnił się, wzmógł na sile — pikowały. Stojąc w budynku stacyjnym, przylepiony do ściany obok kpt. P. widziałem półobrotem głowy jak okna stacyjnej poczekalni pęczniały,



Na pobojuwisku



Defilada przed Kanclerzem Hitlerem

wyginały się do wewnątrz, gdy chichot spadających bomb mieszał się z brzękiem szyb, wybuchami, warkotem motorów — wśród kurzu i pyłu murów, walących się drzwi i sprzętów.

Parę minut spokoju — odlot, kółeczko do przodu i znowu to samo. Tuż gdzieś blisko nad głową, nad samym dachem — to jednym, to drugim skrzydłem nachylając, sam lecąc nie wyżej 50 m otworzył ogień z karabinu maszynowego. Strzelał celnie i dobrze. Kule brzękały, odbijały się od bruku, wżerały się w mur budynku. I znów odlot — kółeczko — nalot. Zdawało się, że to ciągle tak będzie, że z tego nikt cały nie wyjdzie. Odleciał wreszcie. Węzeł kolejowy Rejowiec nie istniał na długi czas. Wszystkie tory zniszczone, druty telefoniczne zerwane, budynek zdemolowany, obsługa w panice.

Trudno mi było wyjaśnić, dlaczego wczoraj nie napisałem ani słowa. Taki był jakiś głupi dzień. Pobudka o 6.30, wszystko niby wcześniej, a w gólnym wyniku: dzień zeszedł marnie. Jeden do drugiego podobny, ale tylko pozornie. Zawsze jest coś nowego, zawsze coś, co rozbija rzekome podobieństwa na różnice.

Są tu trzy bloki, z grubsza obejmujące oficerów według szarż. Co dnia inny blok idzie pierwszy do wspólnej jadalni na posiłek, od tego są uzależnione godziny zbiórek. Rano zbiórka na korytarzu, pacierz. (Ojcie Nasz, Zdrowaś Mario i śpiew Kiedy ranne wstają zorze.)

Śniadanie: menu zmieniane codziennie, a więc kawa mleczna, kleik z pęczaku, owsianka, herbata lekko słodzona. Trzeba przyznać, że to wszystko jest gorące i smaczne.

Zbiórka na apel, na dworze, wielki czworobok blokami. Wówczas widzimy i naszych wodzów, a jest ich tu kilkunastu, znane nazwiska i jeszcze kilku chorych (?!).

11,30—14,30 zbiórka na obiad i obiad z jadłospisem zmienianym też codziennie jak i kolacja. Dostajemy kartofle ze smarem i kapustę z mięsem, zupę jarzynową i sok z burakami słodkimi, zupę grysikową na gęsto, pęczakową i t. d. Dosyć smaczne i obfite, jak każde jedzenie tutaj.

17—18,30 zbiórka na kolację: kawa, herbata, zupka, przy czym jeśli jest herbata to z dodatkiem marmelady lub sera. Zaraz po kolacji zbiórka na rozkaz, w którym podawane są różne informacje o weryfikacji, ewidencji, kursach i t. d. Bacność! Modlitwa „Anioł Pański“ i śpiew „Wszystkie nasze dzienne sprawy“.

„Czy ni z tego, ni z owego, będzie Polska na pierwszego?“

O 21-ej gaszenie świateł. A w międzyczasie: brydż! Trochę czytania i bardzo, dużo, bardzo głupich — o jakże głupich i naiwnych dyskusji!!! Tematy: kto winien, kto, co, gdzie i jak, gdyby tak inaczej, a może lepiej byłoby nie wojować, no i wszystkie kraje świata w ruch. „Jak to, ni z tego, ni z owego, będzie Polska na pierwszego“ — a my wrócimy do odbudowanego kraju na swoje miejsca po zasługi, ordery, pensyjki, rekompataty, no i zaczniemy ciąg dalszy tego, co było przed I-ym wrześniem. Sami nic nie musimy robić, jak tylko trwać, zachować dyscyplinę, szanować autorytet starszych, pamiętać o ewentualnych konsekwencjach sądowych i honorowych, bo i tak wszystko co mogliśmy, tośmy już zrobili. To, co do nas należało, mianowicie . . . w zdrowiu skapitulowali. O resztę niech się martwią sojusznicy, cały świat, kto chce zreść, aby nie my, bo poco?!!! O tym jeszcze będę pisać. Chcę teraz zupełnie wyraźnie określić w tym

porządku 24 godzin moje osobiste godziny, a tymi są okresy, gdy zapada mrok — czasem 5—6 godzina. Zastłania się kocami okna, bo OPL — a oczy moje zastłaniają łzy . . . Żal ścisła za gardło, coś się łamie, coś wyzywa, — o najbliżsi moi — coś trawi się, przepala, ujawnia skarga, zawodem i wstydem i bezsilną żalością.

Dwadzieścia lat temu pisałaś do mnie: „Żołnierzyku mój złoty“ — a dziś, co z twoim żołnierzem? Bez woli, bez walki, na pośmiewisko świata oddał broń, skapitulował. Kapitulant, choroba, Kriegsgefangener Nr. . . .

Gros wiadomości, jakie mamy, to błaga w formie plotki, powstającej bądź ze słabej znajomości języka niemieckiego, bądź z resztek ploteczek krajowych, przefasonowywanych na własny optymistyczny użytek, bądź bezmyślnym uzupełnianiem brakujących ogniw w łańcuchu rozumowań. Pozostała część wiadomości to prasa lokalna i „Völkischer Beobachter“. Do tej masy dochodzą ulotki, drukowane po polsku i dostarczane przez władze niemieckie żołnierzom w obozie. Oto przykład plotki z błędnego tłumaczenia wiadomości niemieckich:

Jeden z naszych kolegów zasłyszał rozmowę w Wrocławiu, że jedziemy w kierunku na Brenner i powinniśmy dojechać do miejsca przeznaczenia po 48 godzinach. W rozmowie użyto słów: „...nach Brenner kommen“ . . . a biedny typ przerobił na „brenner bekommen“, tłumacząc: „Jeśli nie dostaniemy ognia“ — bo brennt = Feuer, a Feuer to strzelanie — więc wynik: „Jeśli nas nie zbombardują w drodze anglicy“, — no i sytuacja: „anglicy bombardują całe niemieckie terytorium — jak było u nas — wojna wre, itd.“

Wracam jednak do mego rozumowania, którego zasadniczą tezą jest: wrócić do kraju. Wychodzę z założenia, że każdy z nas pojedynczo jest potrzebny w tej zniszczonej ziemi, wśród tych zbiedniałych, rozgorączkonych, zmaltretowanych ludzi, łatwych do wszelkiego rozluźnienia się i podatnych agitacji międzynarodowej i balaмутnej. Potrzebny w pierwszym rzędzie do zwykłej czarnej pracy o kawałek chleba dla siebie, bliźnich i bliskich, dla niesienia pomocy, odrobienia błędów swoich i cudzych — dla orki gruntu pod dobre, czyste, zdrowe ziarno prawdy, pracy i porządku.

Rzeczą najważniejszą jest kto będzie robił, kto będzie budował, kto pomoże poprawić od tego, kto winien, kto zbłądził, w obecnym stanie. Myślę bowiem, że wyszukując winnych, trzeba by całą ludność zamknąć do kryminału, lub zależnie od surowości ukarać inaczej.

Nabroiliśmy wszyscy. I ci, co wiedzieli, co robią i ci, co pozwolili bezwładnie sobą powodować: jedni przez złą wolę drudzy przez brak woli. Bezczyńność — „aby moja wieś spokojna“.

Podjeżdżam, że mamy nową fabrykę wieści, a jest nią „Konwent“ generałów. Tak ja go nazywam i takie spełnia funkcje. Trzeci dzień trwają w obozie nieustające rozmowy na temat: zgłaszać się nie, do powrotu na teren zajęty przez wojska sowieckie? Myślę, że nieraz jeszcze w notatkach mych powrócę do tego tematu, pływającego, jak pączek w maśle, w powodzi kłamstwa, łajdackich plotek-nakazów „konwentu“ generalskiego tak dalece, że istota propozycji, jeśli tak wezwanie Komendy Obozu można nazwać, zatraciła swój charakter i formę. „Konwent“ generałów przeszkadza, apeluje, tłumaczy i zakazuje — posuwając się do dziecinnych argumentów: „Panie! 10 000 oficerów rozstrzelali bolszewicy teraz“, to jest wyłamianie się i pociąga za sobą utratę stopnia i wszystkiego w przyszłości“. Ta skala argumentów budzi nieufność, uwidacznia niski poziom „konwentowego“ pomysłu, —

dla nich bolszewik jest w r. 1939 takim samym, jak w latach 1918—1919. Wczoraj wywoływaliśmy duchy. Bzdura i to wielka, wynik: 4 miesiące niewoli i mała Polska przy zwycięstwie Niemiec nad koalicją. Zabłagowanie, zakłamane autorytety, o dyktanckich wiadomościach i formach, o mózgu zajęтым tylko własnymi interesami osobistymi, osobistą wygodą. Osobistą — bo nawet nie najbliższej rodziny ich wielkorządnych mości.

Karmią nas ciągle dobrze w tym obozie — a naokoło widok cudny. Warunki zdrowotne są tutaj doskonałe, tak grzeje słońce. Warunki higieniczne bardzo dobre. Na każdym poziomie bloku są po dwie ubikacje na skrzydłach, po trzy umywalnie z natryskami, basenami do mycia nóg, muszlami do mycia się, nawet lustra w ścianach. Rano i w południe woda gorąca. Papier higieniczny. Centralne ogrzewanie. Izby po dwie, sześć, dziesięć, dwanaście — osób. Łóżka żołnierskie-niemieckie z siennikami, po dwa koce, koperta na koc, prześcieradło, koperta na poduszkę i szafka na rzeczy (jedna na dwóch).

Komenda niemiecka nie szuka okazji do żadnych zwad, a chce porządku i dyscypliny — bez żadnych szopek z naszej strony.

Obchodziliśmy dzisiaj uroczystość dzień Wszystkich Świętych. I chociaż to jest dla Niemców dzień normalny, Komenda Obozu poszła nam na rękę. Rano koło 10-tej było nabożeństwo na placu, z udziałem poraz pierwszy chóru obozowego, zorganizowanego zaledwie parę dni temu. Śpiewali ładnie — i dziwne wrażenie robiło to nabożeństwo — z udziałem 1500 osób.

Niech będzie to świadectwem prawdy historycznej, że wbrew kłamstwu propagandy, czy agitacji: nas traktują zupełnie dobrze. Karmią dostatecznie. Jest nam ciepło i wygodnie. To prawda szczerza. Tak wygląda niewola od strony prawdy, taki jest obecny stosunek zwycięzców do zwyciężonych.

Dokuczają brak wiadomości o rodzinach. Nie wiem, jak piszą ludzie z obozu — z tym są trudności.

Myślę, że nasze generały mogłoby w tej sprawie dużo dopomóc, gdyby nie patrzyli tylko na własny pępek, i gdyby nie mieli tak zaspokojonych i zabezpieczonych żon i rodzin, jak mają. Gdyby przede wszystkim porzucili materialną drogę myślenia, sobkowności, egoizmu i podrzymania tego osobistego autorytetu, w który już większość ludzi, różnie i z różnych powodów, ale nie wierzy.

Pałę przez ostatnie dni dużo. Na dworze ciągle mgła, gęsta, ponad 50 kroków, nie widać nic. Tak się zaczął listopad. Dzisiaj padło podobno przez jednego z majorów rzucone zdanie: jeśli ma być w Polsce nowej znowu poprzedni system rządów — to wolę już protektorat niemiecki. Muszę to przemyśleć, jeszcze raz z wielu stron, chociaż doraźnie zgodziłem się z tym. Bo jednak tak! Ten fałsz, bezwola, sobkowność, cała krzykliwa błaga tandety, zafalszowana nieuczciwość, wszystko razem sklecone zmieszane z lekceważeniem prawdy, pracy i prawa — to właśnie, a nie co innego dało obecny rezultat konfliktu. I jeżeli mówiłem zupełnie wyraźnie, że nas oczekuje przewrót społeczny, że muszą, ustać te kliki, blagi, dyskonta cudzych zasług, łajdactwa z głupotą wymieszane, przywileje, autorytety itd. — to przecież to samo miałem na myśli — to jest zło, zarażające otoczenie, zło — które musi być przede wszystkim usunięte z organizmu, — inaczej szkoda każdej kropli krwi, czy potu, szkoda czasu i atłasu — każdego wysiłku i myśli. Jeżeli po 25 latach straciliśmy ojczyznę, to dowód, żeśmy szli złą drogą. Powiedzmy śmiało i otwarcie i twardo: ja mam dla siebie i dla Was wszelkiej wojny dosyć. Pragnę tylko pokoju, spokoju — i w dalszej konsekwencji

pracy, prawdy i porządku. Żadnych fantastycznych błag, zakłamań, fałszu. Jestem człowiekiem, który wyznaje pracę jako dobro, nie jako konieczność. Pracę jako błogosławieństwo, a nie jako przekleństwo. I nie chcę być pariasem rządzonym, kierowanym i w konsekwencji ładowanym w coraz to wynikające konflikty, które są wynikiem zła i głupoty. Jeżeli po 25 latach doprowadzony zostałem do tego, że ponownie śpiewam: „Ojczyzny wolność racz nam wrócić Panie“ — to jest to tragedia, dowód żeśmy szli złą drogą — a chyba tylko człowiek aspołeczny, zły lub głupi może świadomie iść złą drogą. Jestem przekonany, że źleby było, gdyby, „ni ztego, ni z owego przyszła Polska na pierwszego“. Trzeba również do tego, co piszę dodać twierdzo: ja jestem Polakiem — my z wami jesteśmy Polacy.

Jeżeli ma być Polska, to powinna ona być podobna do Polski z „Przedwiośnia“ Żeromskiego, a nie Polski — broń Boże — bloku bezpartyjnego, czy Ozonu, Brześcia czy Berezy. Rzeczpospolita — a nie folwark ordynacki czcigodnych sukcesorów wielkich zasług.

Nie powinniśmy mieć żadnych zainteresowań politycznych na terenie i wśród ludności ukraińskiej czy białoruskiej. Tej ludności, której przyznaje prawo nieufności w stosunku do nas, tylekroć ugruntowanej i tylekroć uzasadnionej naszymi złośliwościami, naszą złą wolą, naszą tępotą, w najlepszym wypadku naszymi błędami. Naprzód trzeba porządek zacząć od siebie, od terenów rdzennie polskich, — nie jest bowiem logiczne sadzić drzewka czy siać ziarno u sąsiada, gdy własna rola jeszcze niezaorana. A Polska jest ugorem — ugorem, po którym przeszedł nie pług — ale walec wojny. Walec dziejów — tak to oceniam, bo tak wygląda, co widziałem i tak to jest.

Czy i kiedy wreszcie ludzie zrozumieją, że tutaj nie jest wilegiatura, a obóz jeńców wojennych.

Dlaczego ja tak łatwo ciągnę konsekwencje kapitulacji, i podporządkowuję się przepisom i zarządzeniom — nawet tak dalece, że irytują mnie inni, którzy ze sztabacką miną i nielogiczną bez troską starają się obejść taki czy inny przepis.

No, ale to też nasza wada narodowa „pozwól kurze grzędę, ona wyżej siędę“. I z tego trzeba i można wynieść naukę na przyszłość. O jakże wiele nam takich nauk potrzeba!

Rygory zostały dzisiaj zmniejszone znacznie, prawie zupełnie cofnięte. Widać, że Komenda Niemiecka nie szuka zaczepki, nie szuka okazji do żadnych represji czy szykan, — a chce porządku i dyscypliny bez żadnych szpek z naszej strony. Chcę dzisiaj zanotować parę faktów, na dowód w jakim trudnym środowisku się znajduję. Co za element stanowi ten zespół korpusu oficerów W. P., bo dopiero przykłady mogą zilustrować i naświetlić jak można myśleć i czuć. Dziś dostaliśmy zamówione jabłka, które trzeba było przenieść do bloku. Zgłosiło się sporo ochotników do tego w stopniu do podpułkownika włącznie. W wyniku przenosin jedna torba zginęła bez śladu.

Chodzenie po dwa razy na obiad, giniecie mydeł, ręczników, chleba są dosyć częste. Już o tym nawet bardzo mało się mówi.

A wśród tego wszystkiego górnolotne zdania o sędach honorowych, o solidarności i t. p. Jaka solidarność z takimi ludźmi? Przecież trudno mówić, bym się solidaryzował z tym, kto kradnie cudze niezbędne rzeczy i to w tych specjalnych warunkach. Jaki sąd honorowy, w składzie którego zasiadają tacy ludzie. Słusznie powiedział dziś jeden z podporuczników:

„Czy ja wiem, komu rękę podaję?“. Może te szczupłe przykłady, to całe nieróbstwo, lenistwo, analfabetyzm umysłowy i beztroska zapełniona brydżem, plotki niemowląt dadzą obraz atmosfery w jakiej żyję.

Gdy prosta uczciwość wymaga stwierdzenia...

Tak często spotykane i rejestrowane zjawisko z lat dawnych: jeśli się znajdzie ktoś do ludzi, do rzeczy, ktoś u którego honor, godność osobista, rzetelność i powaga, ba! nawet rozum nie są elementami pokazowymi, tylko dogmatami, na których opierają swe życie, czyny i obyczaje, którymi się wyróżniają, to nie zawsze, ale zazwyczaj będą to ludzie dawnej dobrej szkoły, mówiący specjalnym akcentem po polsku — Rosjanie i Ukraińcy. Ze wstydem trzeba to wyznać: wyróżniają się. Dlaczego? To wstydlive pytanie i stwierdzenie mężczy, ale pozostaje faktem.

Żaden dziw, że tak się skończyła wojna! I żadne powoływanie się na równoczesne wkroczenie Sowietów nie jest wystarczającym. Nie tu tkwi przyczyna klęski! Nie! Jak się patrzyć na tych ludzi z korpusu oficerskiego, widzi się dopiero teraz, że inaczej skończyć się nie mogło.

Jak ciężko coś takiego napisać. Gdy prosta uczciwość wymaga stwierdzenia, że nikt z nas nie był bez winy.

Wczoraj dużo gadało się na temat obrony Warszawy z wnioskiem ogólnym, co jest bardzo charakterystyczne, że decyzja obrony Warszawy była jednak decyzją kryminalną.

Trzeba przecież uzmysłowić sobie, że decyzja ta zapadła w czasie, gdy 39 dywizja otrzymała rozkaz opuszczenia rzeki Wisły, gdzie trzymała odcinek: Kazimierz — Puławy — Dęblin, z tyłami na Kock i Lubartów. A skoro były jakieś przyczyny, aby dywizja ta odeszła sama bez naporu nieprzyjaciela, pozostawiając 180 armat i niezliczone ilości amunicji, to jakież mogły być przyczyny do zaciepienia się o obronę Warszawy. Tylko obłąkanie, zakłamanie lub człowiek zdeprawowany do gruntu mógł coś takiego uczynić. Groza i potworność tych kilku dni, pieczęć psychiczna nędzy i koszmaru, bombardowanie, straty ludności cywilnej, brak światła, wody, depresja psychiczna małych i starszych dzieci, którym to ciężarem i piętnem legnie na całe życie — wszystko bez celu, bez nadziei jakiegos wyniku, jakiegos porządku. To trzeba było przemyśleć, zanim się na podobną akcję, na podobny krok zdecydowano. Minusy były tak wielostronne, straty tak olbrzymie w swej ilości i rodzaju, a plusy żadne!!

Dzisiaj przeprowadziłem tego rodzaju rozumowanie, któremu, zdaje się, trudno zarzucić braku logiki i realnego podkładu. Wojna ma zawsze niewiadomy wynik, jeśli dwie potężne strony zwaryły się w zapasach o „być lub nie być“ — mając mniej więcej równe siły i szanse. Polska, jako małe państwo, pod zwierzchnością niemiecką będzie miała zależność polityczną i gospodarczą. Zależność gospodarcza będzie tego rodzaju, że wobec niemieckiego wielkiego przemysłu ciężkiego i średniego gospodarka polska musi być z tym przemysłem zablokowana, uzgodniona w rodzaju i natężeniu produkcji. Wyłaniająca się tutaj kwestia żydowska, a więc kwestia elementu destrukcyjnego, zachłannego i szkodliwego będzie ograniczona do minimum, prostoprostu unieszkodliwiona dla naszego organizmu państwowego i gospodarczego. Do tego trzeba dodać praktyczną naukę rygoru, porządku, solidarności wysiłku pracy i organizacji systematycznej. Przyznać musimy, że gospodarka polska i polityka przed pierwszym wrześniem 1939 była zła.

Przypomnijmy sobie różne pożyczki zagraniczne na odbudowę, na odłuzenie i t. p. znane kwiatki. A politycznie, także zależność — misje, komisje, naciski, rady, badania, kierunek polityki zagranicznej korzystny w pierwszym rzędzie dla interesów finansującego. A kierunek polityki wewnętrznej? Sprawa żydowska w całej swej ohydzie odwetu i fałszywych skarg. Rozgrywki polityczne na temat; winowajca i zasłużony, sprawa chłopska — znowuż cały bigos, drażniące i ciężkie chwile, — przy braku ludzi pracy, a przy nawale karierowiczów, systemu żłobu państwowego — aż twarz się w grymas zbiera na takie przypomnienia ubiegłego okresu 25-lecia.

Trzeba myśleć realnie, skoro się chce jeść, żyć i być czymś w świecie. Trzeba pracować w możliwie najlepszych warunkach.

Z zależności polityczno-gospodarczych jest lepsza dla nas, dla naszego stanu, zalet, i zwyczaju, cech i wad odpowiednia jedna możliwość — jedynie w protektoracie (nazwijmy śmiało rzeczy po imieniu) możemy rozwinąć korzystniej nasze możliwości, możemy mieć większe korzyści. Złe jest, że nam nikt wyboru nie da, ani nie daje. Może ja błędę w mych rozmyślniach i rozważaniach. Ale widzę z tych możliwości przed Polską, tylko to jedno rozwiązanie. Poza tym wszystko jest fantazją.



Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM 314659



000-314659-00-0